

nadodrże

PI ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 630

ZIELONA GÓRA 26VI — 9VII 1988 R.
ROK XXXII NR 13 [670] CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Pod chłodnym samowarem

Palety i pióra

TYLKO DLA NIEPRZEMAKALNYCH

SCENY miłosne

Krzyżówka Lubuska

nagrody wartości 250 000 zł

W KAZDYM KIOSKU "RUCHU" W GORZÓWSKIM I ZIELONOGÓRSKIM

Wielka Góra
czerwiec-wrzesień 1988 rok

80 zł

nadodrże



LAJMA VAJKULE: estradowy powiew pieriestrojki (czyt. str. 3) Fot. B. BUGIEL

Publikacji na temat Łagowa zebrało się już sporo. Pękają ich teczki chętnie demonstruje wszystkim zainteresowanym prezes Towarzystwa Przyjaciół Łagowa dr Irena Sinicka-Szeja, nieustraszona propagatorka uroków i zalet tej miejscowości, gorliwa orędowniczka uchronienia jej przed postępującą degradacją. Bo to nie jest już ten sam Łagów, który pamiętamy z czasów jego nieodległej, a świetnej przeszłości, w której tyle się w nim działo, a on sam w sposób naturalny wpisywał się w otaczający go, nienaruszony jeszcze nadmierną ludzką działalnością krajobraz.

Pejzaz łagowski

Wiesław Nodzyński

Rzecz jednak nie w tym, aby przypominać po raz któryś z rzędu to, co minęło tu, bezpowrotnie, chociażby zapach akacji przy alei prowadzącej pod górę w kierunku dworca PKP, bo już ich tam nie ma, podobnie jak nie ma olch obrzeżających jezioro Łagowskie, czy pięknie kwitnącej magnolii koło zamku. Idzie o to, aby ratować i naprawiać to, co zostało i co złożyć się może na racjonalnie i nowoczesnie pomyślane funkcje Łagowa, nie tylko jako ośrodka gminy łagowskiej, ale także miejscowości turystyczno-wypoczynkowej, w przyszłości nawet uzdrowiska o charakterze ponadregionalnym.

Tak też widziano tę sprawę na ostatniej w minionej kadencji sesji Gminnej Rady Narodowej, której przewodniczył inż. Bogusław Barszcz. To człowiek znany nie tylko w Łagowie. Odważny. Już początek kadencji nie wróżył mu spokoju. Toczył się spór o wybór przewodniczącego. Jego program był najbardziej przekonujący. Teraz, po upływie tych czterech lat mógł śmiało patrzeć radnym w oczy, choć jak sam przyznaje, mimo iż udało mu się zjednać dla swych celów wielu ludzi, przysporzył sobie także wrogów. W wielu zasadniczych sprawach decydowała jednak — przeciw Radzie i podjęte przez nią decyzje mają obowiązującą wszystkich moc prawną.

Łagów wraz z całą gminą leży na obszarze Łagowskiego Parku Krajoobrazowego, który wyodrębniony został uchwałą nr. V-42/85 Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze z dnia 26 kwietnia 1985 roku. Obejmuje on obszar o powierzchni 4500 ha, z czego 4369 ha położone jest na terenie gminy (97 proc.) i 131 ha na terenie gminy Sulęcina (3 proc.). Na tym obszarze znajdują się trzy rezerwy przyrody, sześć jezior, w tym dwa najpiękniejsze w województwie zielonogórskim: jezioro rynnowe: Ciec (Trześniewskie) i Łagowskie, otoczone lasami mieszanymi, w których rosną również wspaniałe okazy buka, także czerwonego.

Ta uchwała, chociaż przyszła zbyt późno, bo wielu szkodom można było wcześniej tu zapobiec, wprowadza na obszarze Parku szereg rygorów w postaci nakazów i zakazów. Dotyczą one ochrony środowiska naturalnego, budownictwa, lokalizacji ośrodków wypoczynkowych, komunikacji. Uchwała zastrzegła widzenie spraw fundamentalnych dla dalszego rozwoju Łagowa i gminy.

Do takich należy konieczność opracowania i zatwierdzenia przez Gminną Radę Narodową planu ogólnego zagospodarowania Łagowa i gminy, i w oparciu o ten plan — szczegółowego planu rewaloryzacji łagowskiej starówki. Kolejną i ostateczną już chyba wersję tego planu opracowuje mgr inż. arch. Antoni Piekarczyk z Biura Planowania Przestrzennego w Zielonej Górze. Plan ma być gotowy jeszcze w tym roku. Powinien go poprzedzić plan zagospodarowania Parku Krajoobrazowego, w którym Łagów stanowi punkt centralny. Tak się jednak nie stało, choć Park bez takiego planu, a zwłaszcza bez szczegółowej inwentaryzacji jego zasobów naturalnych jest improwizacją. Nie wystarczy wystawienie w nim tablic informacyjnych, wież widokowych, tras dydaktycznych i wiat przeciwdeszczowych. Opinię tę podziela kierownik Parku mgr Jan Stanisławczyk, pracownik Wydziału Gospodarki Wodnej i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze, który przy pomocy tylko jednego strażnika zamieszkałego w Łagowie musi lądować — substancję parku. Nie dość skutecznie, bo łagowanie, a zwłaszcza działające Towarzystwo Przyjaciół Łagowa bulwersowani są często faktami dewastowania, w ich przekonaniu bezczelnego drzewostanu. Leśnicy muszą się liczyć z tym uwrażliwieniem ludzi.

Mógł inż. Barszcz na sesji mówić o sukcesie, jakim jest poprawa czystości wód w jeziorach Łagowskim i Trześniewskim. To wynik pobudowania kilkunastu szamb bezodpływowych w najbardziej zanieczyszczonych miejscach Łagowa. Utopiono w nich miliony złotych a oka-

zało się to jednak nie najlepsze i zawodne wyjście z sytuacji. Oproznia te szamba PGKiM w Świebodzinie, które ma kłopoty ze sprzętem asenizacyjnym. W czasie Pleneru Przyjaźni, w pięknym Ośrodku Leśników, w którym mieszkali plastycy, przepiękne szambo rozsiewało wcale nie wytwórny zapach.

To jeden z problemów, z którymi boryka się Urząd Gminy. Do takich należy także dokonanie budowy kanalizacji i oczyszczalni ścieków. Od wielu lat trwa już ich budowa. W pierwszym etapie w prawobrzeżnej części Łagowa, od strony Łagówka. W dalszej kolejności w lewobrzeżnej, starej części Łagowa. Przebiegać ona będzie w znacznie trudniejszych warunkach. Całość realizuje z różnym powodzeniem Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich kosztem ponad milarda zł, i bez pomocy funduszy wojewódzkich, zwłaszcza przeznaczonych na ochronę środowiska nie wiele by się w tej materii zrobiło. Przewodniczący Barszcz liczy co prawda na konsekwencje nowej ustawy o radach narodowych, która ma wejść w życie od 1 stycznia przyszłego roku i związane z nią środki samorządowe, jakie między innymi powstaną z podatku płaconych przez znajdujące się na terenie gminy zakłady pracy i przedsięwzięcia. Szczególnie liczy na pomoc, jaką Urząd Gminy uzyskać może z pobliskiej i rozbudowującej się kopalni węgla brunatnego w Śieniewie. Założa tej kopalni ma wzrosnąć do 2 tysięcy ludzi w związku z budową brykietowni i nowej odkrywkowej w pobliżu Wielosław. Dla Łagowa może to oznaczać częściowe rozwiązanie narastającego problemu mieszkaniowego i ewentualne do stawy ciepła. Co to mogłoby oznaczać z punktu widzenia ochrony powietrza nad Łagowem, nie trzeba dowodzić.

Występujący na sesji dyrektor kopalni inż. Zbigniew Ganecki starał się zapobiec niepokojom związanym z rozbudową kopalni, która działa na terenie Parku w części podziemnej, i na jego obrzeżach, jeśli idzie o odkrywkę w rejonie Wielosław. Twierdził, że węgiel śieniewski posiada niską zawartość siarki i że nadaje się do formowania bezpiecznego. Korzystał się ma także z najnowszych doświadczeń w dziedzinie ochrony środowiska podobnych kopalni w NRD. Trzeba więc rzec, że dyrekcja kopalni zechce zrobić w tej dziedzinie wiele. Ale jedyną niebezpieczeństwą wykluczyć się nie da. Kopalnia wydobywa węgiel dotychczas na ogół do poziomu wód gruntowych. Na nowej odkrywce będą inne warunki geologiczne, co rodzi możliwość powstania tzw. leja depresyjnego, mogącego

ciąg dalszy na str. 4

Opinie i refleksje

WSPÓLNOTA

Niedawne obchody tysiąclecia chrztu Rusi miały nie tylko religijny charakter. Zaangażowanie się w nie przywódców radzieckich dowiodło jeszcze raz, że ZSRR w epoce pierestrojki i głośności szeroko otwiera się na różne koncepcje życia i bycia, różne filozofie dalekie od marksizmu. Wielkim wydarzeniem było spotkanie M. Gorbaczowa z patriarchą Pimenem i członkami Świętego Synodu, który jest najwyższą władzą rosyjskiej Cerkwi. W dziejach Związku Radzieckiego to drugie tego rodzaju i tej miary spotkanie. Poprzednie odbyło się niemal dokładnie czterdzieści pięć lat temu, kiedy to Stalin spotkał się z ówczesnym kierownictwem rosyjskiego kościoła prawosławnego.

Dzieje wzajemnych stosunków państwa radzieckiego i kościoła prawosławnego są fascynujące. Przewodnicząca oprowadzająca niedawno grupę literatów polskich po Kremlu przypominała, że Lenin w najtrudniejszym dla państwa radzieckiego okresie głodu, zimna i międzynarodowej blokady, z rządowej, mizernej kasy finansował konserwację ikon. A już w kilka lat później niektóre cerkwie zamieniono na magazyny albo po prostu rozebrano. Czasem w ciągu jednej nocy.

Warto przypomnieć, że w 1929 roku ustawowo niemal do minimum ograniczono samodzielność rosyjskiej Cerkwi. „Dopiero trudna rzeczywistość lat wojny zmusiła Stalina do zmiany stosunku do rosyjskiej Cerkwi (prawosławnej) — przypomniał K. Charczew, przewodniczący Rady do spraw Wyznań przy Radzie Ministrów ZSRR w rozmowie z pisarzem Aleksandrem Nieżym opublikowanej w „Ogonioku”. Kościół prawosławny niezwykle aktywnie zaangażował się w walce z niemieckim faszyzmem. Już w kilka godzin po napadzie Hitlera na Związek Radziecki, jeszcze przed słynnym przemówieniem Stalina do narodu, przywódcy tego kościoła zaangażowali do walki o wolność i życie w obronie ojczyzny. Duchowni wychodzili na drogi, by krzyżami błogosławić spieszące na front oddziały. W latach wojny Cerkiew ze swych środków ufundowała eskadry samolotów i kolumnę czołgów. Na obronę kraju tylko do końca 1944 roku wydasygnowała 150 milionów rubli. Ta patriotyczna postawa nie tylko zresztą prawosławnego kościoła w Związku Radzieckim zaskoczyła wielu komunistów. Także Stalina, który 4 września 1943 roku spotkał się z przywódcami Cerkwi i zezwolił na zwolnienie soboru biskupów i powołanie Świętego Synodu, co równało się faktycznie prawowemu odródnieniu się całego prawosławnego kościoła w ZSRR. Wkrótce też zaczęto odbudowywać niektóre świątynie i klasztory, reaktywowano szkolnictwo duchowne, pojawiła się znów prasa kościelna. Nie mało równocześnie można było jednak przeczytać w „Podroczniku antyreligijnym”, że wrog klaszory wprowadzić został rozbity ale jego resztki znalazły schronienie w organizacjach religijnych. A wypędzeni ze swych gniazd mnisi i mniszki tysiące duchownych, nie pogodzili się z myślą, że ich sprawa została ostatecznie przegrana.

Po spotkaniu Gorbaczowa z Pimenem przekazano władzom duchownym najstarszy obiekt sakralny w ZSRR — sławny, odwiedzany corocznie od 1961 roku przez setki tysięcy turystów, klasztor Kłazmowski, gdzie w labiryncie piekarz znalazł wieniec spokoju ponad stu prawosławnych świętych. Chodząc niedawno w tłumie turystów po tych piekarniach zastanawiałem się, czy istotnie panuje tu wieczny spokój? „Otrzymałmyś z powrotem klasztor” — powiedział w rozmowie z dziennikarzem mi metropolita Kijowa i Halicza — Filaret — gdzie świątyni płomieni będzie po nowie żarzy? To a minie będą się żarłowie modlili”. Ś. z tego 28 hektarowego kompleksu sakralnego pięknie rozłożonego nad Dnieprem rozebrano kościół chrześcijaństwa na Ruś i dalej Zakończony w 1051 roku klasztor wkrótce stał się prężnym ośrodkiem kultury. Tu Nestor pisał swoją kronikę. Tutaj także założono pierwszy na Rusi warsztat malowania ikon. Od 1961 roku, Klasztor Peczerski stał się również wielkim ośrodkiem drukarskim.

W uroczystościach milenijnych uczestniczyli przedstawiciele ponad stu państw, wi- lu religii, także niechrześcijańskich. Po raz pierwszy Związek Radziecki odwiedził prymas Polski, który w rozmowie z wietnamskim powiedział, że nie wyklucza się pielgrzymki Jana Pawła II do Kijowa. Rad Nie znana, przynajmniej dotychczas jest treść listu papięza do Michaiła Gorbaczowa, który to list przekazał kardynał Casaroli, watykański „minister spraw zagranicznych”. Szczególnie skomplikowane są problemy kościoła unickiego. Zapowiedziano, że już w lipcu w klasztorze niedaleko fińskiej granicy Kuoio rozpoczyna się rozmowa pomiędzy Kościołem rzymsko-katolickim i rosyjskim Kościołem prawosławnym.

Religie coraz mniej dzisiaj ludzi dzielą, coraz bardziej łączą.

JACEK WOCH

Z prasy radzieckiej

Też się dyskusja między polskimi i radzieckimi historykami na temat niezbadanych i niewyjaśnionych dotąd faktów z naszej wspólnej historii. Redakcja „Międzynarodowej Żyźni” rozmawia o tym z radzieckimi historykami. W poprzednim numerze opublikowaliśmy pierwszą część tej rozmowy, która dotyczyła stosunków polsko-radzieckich tuż przed wybuchem wojny. Obecnie publikujemy dalszy ciąg tej rozmowy.

M.Z. Pragnęlibyśmy usłyszeć kompetentną opinię na temat całego kompleksu zagadnień związanych z deportacją polskiej ludności po klęsce Polski. Przecież sprawa ta również należy do tych, które wymagają obiektywnego nasświetlenia.

Walentyna Parsadanowa (z Instytutu Słowiańszczyzny i Bałkanistyki AN ZSRR): W istocie deportowanie ludności z zachodnich rejonów Związku Radzieckiego w latach 1939-41 odbywało się z pogwałceniem radzieckiej Konstytucji. Chociaż dokumenty wskazują na pewne różnice w podejściu do tej sprawy na Ukrainie, Białorusi i na Litwie, była to samowola władz. Trzeba też powiedzieć, że wbrew pewnym spotyka-

domo, że okoliczności tej tragedii są skrupulatnie badane. Nie jest to łatwe, jeśli weźmie się pod uwagę różnice punktów widzenia, brak dokumentów, a także oddziaływanie uprzedzeń politycznych. Wyjaśnienie do najdrobniejszych szczegółów tej sprawy, która z pewnością zrozumieliśmy przyczyn wywołującą i jej emocje, jest sprawą ważną.

O. Rzeszewski: Wpływ o prehistorii problemu 13 kwietnia 1943 radio niemieckie poinformowało, że niedaleko Smoleńska, w lesie katyńskim znaleziono zwłoki tysięcy polskich oficerów, rzeź komo rozstrzelanych wiosną 1940 r. przez radzieckie organa NKWD. Wspomniana informacja stała się początkiem zacieklej kampanii antyradzieck-

„Białe plamy” — między emocjami a faktami (2)

nym w Polsce twierdzeniem o antypolskim i nacjonalistycznym charakterze deportacji, dotyczyły one nie tylko polskiej ludności tych obszarów, ale również Ukraińców, Białorusinów i Żydów. Te przesiedlenia ludzi były następstwem walki klasowej oraz komplikacji związanych z kształtowaniem się władzy radzieckiej w nowych rejonach. Jedną z walk klasowych była prowadzona według biednej stalinowskiej formuły — „Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam”. Ocena polityczna jest jasna, zadanie historyków polega na wyjaśnieniu: jak, kiedy, ile? Trzeba powiedzieć, że w Związku Radzieckim na razie problem ten absolutnie nie jest zbadany. Tak więc komisje radzieckie i polskich naukowców czeka dużo pracy.

Innym problemem jest charakter deportacji polskiej ludności. Zaproponowaliśmy naszym kolegom z PRL wyodrębienie różnych faz przesiedleń. Umówiliśmy się, że nie będziemy uważać za deportację internowania żołnierzy polskiego wojska we wrześniu 1939 r. a wszystkie sprawy związane z tą armią obejmujemy odrębnymi badaniami. Następnie, wyklucziliśmy z kategorii deportacji powołania do Armii Czerwonej, przesiedlenie się Polaków z zachodnich rejonów Ukrainy i Białorusi w poszukiwaniu pracy do kopalń Zagłębia Donieckiego i na Ural, jak również wysiedlenia z obszarów przygranicznych, w których budowano umocnienia. Poza kategorią deportacji pozostaje też ewakuacja przemysłu i klasy robotniczej w okresie czerwca — lipiec 1941 r. Z przesiedlonych dokumentów wynika, że strona polska nie odnotowała powrotnego przesiedlenia się osób, które we wrześniu 1939 r. ratując się przed hitlerowcami, przekraczały granicę Związku Radzieckiego.

Odrębną sprawą jest walka z kontrowersyjnym, nacjonalistycznym podziemiem. W wyniku różnych co do swego charakteru akcji, we wschodnich rejonach kraju znalazły się setki byłych obywateli polskich. Ich losy różniły się ukształtowały. Strona polska przeprowadziła sondę i poinformowała nas, że prawie 98 procent ludzi, którzy zmieniili swe miejsce zamieszkania na rejon obwodu archangielskiego, Autonomicznej Republiki Komi, Syberii, Alatau i Dalekiego Wschodu stwierdziło, że spotkało się tam z bardzo humanitarnym traktowaniem. A kiedy zaczęła się Wielka Wojna Narodowa, ZSRR wznowił stosunki z polskim rządem na emigracji, nawiązał z nim współpracę. Odczuła to także ludność polska w ZSRR. Aby pomóc jej z pomocą, udzielano pożyczek, przesiedlano do rejonów, w których panowały bardziej sprzyjające warunki. Pomocy ludności polskiej, przede wszystkim dzieciom i starcom, udzielano w przeciągu całej wojny i nie podlegała ona jakimś specjalnym wahaniom wynikającym z wzajemnych stosunków z rządem emigracyjnym.

Mamy w archiwach bardzo interesujące dokumenty dotyczące armii Andersa. W naszej literaturze jakoś wstydliwie pomijamy tę sprawę. Armia odeszła, były po temu przyczyny klasowe, polityczne i inne. Zapominamy jednak, że wnieśliśmy ogromny wkład w sformowanie tej armii w najtrudniejszym dla nas okresie 1941-42 r. Armia Andersa otrzymała wszystko, czym ludzie radzieccy mogli się w tym czasie podzielić. W archiwach zachował się dokument podpisany przez Aleksieja Kosygina, który stwierdza, że potrzeby polskiej ludności zaspokajano priorytetowo w porównaniu z potrzebami strony radzieckiej — „kosztom pozostałych konsumpcyjnym”. Pod koniec 1941 r. rozdzielił się i stopniowo rozwijało współdziałanie partyzantów i podziemia: polscy partyzanci uczestniczyli w radzieckim ruchu partyzanckim, radzieccy jeńcy wojenni, którym często udawało się zbiec dzięki pomocy Polaków, włączali się do walki polskiego podziemia na terytorium Polski. I sprawa ostatnia (nie pod względem znaczenia oczywiście) — wkład pracy tych Polaków, którzy znaleźli się na głębokich radzieckich tyłach, setek tysięcy obywateli polskich.

M. Z.: Poruszyliśmy jeszcze jeden palący problem — sprawę Katynia. Wia-

kiej, rozwijanej przez goebbelsowską propagandę, włączył się do niej londyński rząd emigracyjny Polski, przyłączyli się także poszczególne amerykańskie i angielskie organa prasowe. Rząd radziecki niezwłocznie wersję hitlerowską zdemontował. Później, po wyzwoleniu Smoleńska, specjalna komisja państwowa przeprowadziła śledztwo i ustaliła, iż rozstrzelanie polskich oficerów jest dziełem hitlerowców. Wyniki pracy komisji zostały ogłoszone w styczniu 1944 roku i na tym etapie nikt nie podawał w wątpliwość jej wniosków.

Jednakże później były trzy fale prób potwierdzenia wersji hitlerowskiej fałszu. Pierwsza — na procesie norimberskim, kiedy niemiecka obrona, po przeanalizowaniu naszych dowodów, znalazła w nich kilka słabych miejsc o drugorzędnym znaczeniu i na tym próbowała oprzeć swoje kontrowersje. Nie powiodło się to jednak i stopniowo wydawało się, że problem został wyczerpany. Ale gdy tylko zaczęła się zimna wojna, Katyniem zainteresowały się reakcyjne koła USA. W Kongresie powołano komisję, która zajęła się badaniem tej sprawy. Wyniki prac komisji zostały opublikowane, były one szeroko reklamowane w celach antyradzieckich. To była druga fala Trzecia fala wzięcia „Solidarności”, aby podsyć w polskiej opinii publicznej nastroje antyradzieckie. Niestety, do tej niedogodnej wrzawy włączyli się również niektórzy polscy historycy, zwłaszcza z kręgów emigracji.

Teraz wszystko to rozdmuchuje się z nową siłą. Pretekstem jest praca naszej komisji, a celem — jej dyskredytowanie. Nasze milczenie jest wodą na młyn przeciwników. Co więcej, był artykuł o Katyniu w drugim wydaniu Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej. Z trzeciego wydania artykuł ten usunięto. W stopniu, w jakim na razie jest to dla niej dostępne, komisja zbadała wiele radzieckich, polskich, zachodnich i emigracyjnych dokumentów dotyczących tego problemu. Gdybyśmy mieli uogólnić obecny stan rzeczy, to należy stwierdzić, że zachodni historycy nie rozporządzają przekonującymi świadectwami, które potwierdziłyby wersję hitlerowców. Nie stety, jeśli chodzi o dokumenty, to niczego istotnie nowego komisja na razie nie wykryła. Podjęto działania celem godnego upamiętnienia zagłady polskich oficerów w miejscu, w którym są pochowani. Radzieccy i polscy historycy kontynuują poszukiwania i nadal badają materiały związane ze sprawą katyńską. Różne sensacyjne oświadczenia na ten temat można przypisać albo niekompetencji, albo ułudzie ich autorów.

Tamara Porfiriewa (z Instytutu Marksizmu-Leninizmu): Nawiasem mówiąc, taka próba została niedawno podjęta przez grupę polskich intelektualistów, którzy za pośrednictwem zachodnich środków masowego przekazu zwrócili się z listem otwartym do przedstawicieli radzieckiej nauki i kultury. W liście zawarte jest żądanie, by wyrazili oni publicznie swą opinię w sprawie Katynia, zaś w podtekście zawarta jest myśl: przynajmniej się, powiadają, że rozstrzelanie polskich oficerów jest dziełem władz radzieckich, zrzućcie winę na Stalina i Berię, a sprawa zostanie zamknięta. Jest jednak jasne, że sprawę można będzie zamknąć dopiero po poważnym, w tym również na podstawie dokumentów, dokładnym zbadaniu tragedii katyńskiej. Takie zaś wezwania jak ów list otwarty, w żadnym mierze nie pomagają komisji w pracy.

W. Żurawlow: Rzecz charakterystyczna — zupełnie niedawno nadeszła informacja o tym, że w Polsce znaleziono zwłoki ok. 13 tys. jeńców wojennych, wioskich oficerów i żołnierzy, zgładzonych przez faszystów. Podobnie było w rejonie Lwowa. Zachodnie gazety przez dzień czy dwa podnosiły wokół tego wrzawę, ale we Włoszech powiedziano, iż nie ma wystarczających dowodów i sprawa się skończyła.

Proszę tylko spojrzeć, jaką presję starają się wywierać burżuazyjne środki masowej informacji, jak bardzo pragną narzucić własną interpretację „białych plam”, przedstawić je jako sumę negatywnych czynników w historii obu krajów, czynników, które zatruwały nasze stosunki, nie pozwalając żyć w przyjaźni i dobrym sąsiedztwie, całą odpowie-

działnością obarczając Związek Radziecki i niekiedy całkowicie zacierając negatywną rolę państw zachodnich.

G. Smirnow: Więcej, nasi przeciwnicy ideowi przekartkowali dosłownie całą historię poczynając od XVIII wieku, zarejestrowali wszystkie nawet najmniejsze momenty napięcia, jakie zdarzały się w różnych okresach i podjęli próbę zestawienia ogromnej listy „białych plam”, listy, która rozrastała się w ich audycjach radiowych i publikacjach, zaczyna przypominać gigantyczny i nie kończący się potok oskarżeń pod adresem naszego kraju, a wszystko to po to, by „przyprowadzić” ZSRR jako stałego i niezmienionego oskarżonego. Cel jest oczywisty, jest nim wykorzystanie tych „białych plam” do podsywania nastrojów antyradzieckich. Jeśli zaś chodzi o zamiary podsywania nastrojów antypolskich wśród ludzi radzieckich, to jest to, powiedzmy otwarcie, sprawa bezнадzieja.

W. Żurawlow: Można dodać, że w ostatecznym rachunku są podejmowane próby zdyskredytowania socjalizmu w ogóle. Tak, w stosunkach radziecko-pol-

skich bywały trudne czasy. Ale przecież były i są również zjawiska innego rodzaju: historia rewolucyjnej, bojowej i roboczej współpracy narodów ZSRR i Polski. Te właśnie zjawiska przeważają, i to nie tylko ilościowo. To one decydują o istocie naszych stosunków i jesteśmy przekonani, że będą je określały również w przyszłości. Wiele tych pozytywnych zjawisk i procesów czeka na to, by zajęli się nimi badacze.

G. Smirnow: Wciąż chociażby sprawę współpracy bojowej. Dotychczas rozpatrywano ją dosyć jednostronnie. Utworzenie armii Andersa — wiadomo. Następnie sprzęt, umundurowanie, wyżywienie, kadry dla Wojska Polskiego, praktycznie cała młodzież i średnia kadra dowódcza szkolili się i była kompletna u nas, tutaj, to też dla nikogo nie jest tajemnicą. 640 tys. radzieckich żołnierzy poległo w Polsce w imię jej wyzwolenia, ale w obozach na-

terytorium Polski było — 3-krotnie więcej radzieckich jeńców wojennych. Wielu tam zginęło. Wielu z pomocą Polaków zbiegło z obozów, kierowano ich do oddziałów partyzanckich i pomagali walczyć. Współpraca z pododdziałami Armii Ludowej, Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich — to również „białe karty” historii, które znamy niedostatecznie.

Naturalnie, nie da się uniknąć krytycznej oceny przeszłości. Zaczęliśmy od krytyki pozoje Molotowa i mówiliśmy tu o ujemnych aspektach paktu. Pakt jest zjawiskiem niejednoznacznym. Miał historycznie uzasadnione powody i przyniósł nam określone korzyści, ale oczywiście, również mi samemu w tym okresie — ci z nas, którzy już żyli i działali świadomie — bardzo cierpieliśmy z powodu tego, że zawarliśmy porozumienie z faszystami, i jest oczywiste, że w imię tego, by obecnie nasza współpraca w budownictwie socjalistycznym, w kulturze i wszelkich innych dziedzinach rozwijała się pomyślnie, musimy kierować się świadomością, iż właśnie obecny etap rozwoju tej przyjaźni, tej współpracy narzuca i określa charakter stosunku do przeszłości.

M. Z.: Nasza szczerza i rzeczowa rozmowa może być jeszcze jednym świadectwem tego, że w naszym życiu społecznym ugruntowała się atmosfera jawności. Tylko w takiej atmosferze można mieć nadzieję, że zostaną znalezione i udzielone odpowiedzi na trudne, z reguły zawsze zagmatwane problemy, które zaliczamy do kategorii „białych plam”. Do „białych plam” należą nie tylko te sprawy, które w przeszłości utrudniały stosunki radziecko-polskie. Należą do nich również jasne karty historii, karty współpracy w walce z faszysmem, które w wielu wypadkach do tychczas nie zostały należycie zbadane i opisane. Poruszyliśmy dziś poszczególne, cienne karty stosunków radziecko-polskich bynajmniej nie z chęcią światła domowego koncentrowania uwagi na aspektach negatywnych. To nie one decydują o pełnym obrazie stosunków radziecko-polskich w przeszłości i w czasach obecnych. Ale obraz ten, najpełniejszy byłby odbierany w fałszywym świetle, gdybyśmy próbowali uciec od tych problemów. W ostatecznym rachunku samo życie dyktuje potrzebę patrzenia naprawdę na oczy.

Bezimiennie groby

Pod tytułem „Dług pamięci. Odnalezienie imiona poległych bohaterów”. „Prawda” zamieszcza korespondencję z Polski swych specjalnych wysłanników G. Zafiesowa i A. Staruchina.

Na polskiej i radzieckiej ziemi, tak jak i w innych krajach — piszą korespondenci — wznoszą się surowe monumenty i skromne obeliski, poświęcone nie pamięci poległych w bojach. Czyżby imiona uwieczniono, czyżby po dzień dzisiejszy pozostają nieznane. Zafiesow i A. Staruchin piszą o wysiłkach, podejmowanych w celu ustalenia personaliów żołnierzy radzieckich poległych w Polsce. Przywołują przykład Janusza Prymasowskiego, który po wieloletnich staraniach ustalili nazwiska 78 tys. żołnierzy radzieckich poległych w walkach o wyzwolenie Polski.

„Ale ofiary były tak wielkie, zniszczenia tak ogromne, a palące zadania pierwszych powojennych lat tak wymagające, że pozostało wiele nieznanych mogił, wielu bezimiennych bohaterów — stwierdzają reporterzy „Prawdy”. Badamy szczerzy, również na wiele spraw nie zwracaliśmy uwagi i naszym obowiązkiem jest wspomnienie o wszystkich poległych, bowiem miliona latu niczym nie zmniejszają rangi dokonanych przez nich czynów. To, czego nie pozwolili kiedyś uczynić wojna, należy uczynić dziś. Najdalej jutro. Inaczej ryzykujemy, że przyszłe pokolenia nie zrozumieją nas. Nasz moralny obowiązek polega na tym, aby pamiętać ta żyła i zapuściła głębokie korzenie w duszach naszych dzieci i wnuków...”

Korespondenci „Prawdy” opisują swoje wrażenia ze zwiedzania miejsc historycznych bitew II wojny światowej, w których uczestniczyli żołnierze polscy i radzieccy, jak np. Studzianki Pancerne. Na postumencie — piszą — czółg z białym orłem na wieżyczce i napis „Polegli w bitwie pod wsią Studzianki”. Obok — ściana z nazwiskami poległych. Nazwiska — tylko polskie. Nie dlatego, że polscy przyjaciele nie chcą pamiętać tych, którzy razem z ich synami spoczęli w polskiej ziemi. Rosyjskich nazwisk nie ma tylko dlatego, że są one dotychczas nieznane. Wiele z nich, niewątpliwie, można ustalić.

630 tysięcy radzieckich żołnierzy poległo w walkach o wyzwolenie Polski. I tylko nazwiska 88 tysięcy spośród nich są znane. Można sądzić, że nadszedł już czas, by znać każdego poległego. Istnieje realna nadzieja, że nazwisko każdego, który padł w bojach zostanie ustalone.

Nadszedł czas, by z szacunkiem wspominać również tych, którzy z różnych powodów, niekiedy tragicznych, obywatelskich okoliczności znaleźli się w faszystowskiej niewoli. Chodzi nie o

tych, którzy poddali się ze strachu, małoduszności. Wiele tysięcy radzieckich żołnierzy trafiło do niewoli — będąc ciężko rannymi, kontuzjowanymi, pozbawionymi możliwości stawiania oporu. Od razu zastrzegamy się: wiele spraw na tej „liście” nie sposób już po prostu. Nie będziemy zajmować się wymówkami pod adresem przeszłości, ale mimo to chcemy wspomnieć o pewnej okoliczności, na którą natknęliśmy się.

Trudno wyobrazić sobie człowieka, który by nie znał słowa „Oświęcim”. W tym strasliwym obozie zagłady od 1940 roku zginęło około 4 milionów obywateli różnych krajów. Zazwyczaj zwiedzanie tego „kombinatu śmierci” rozpoczyna się od obejrzenia dokumentalnego filmu, nakręconego przez radzieckich operatorów wojennych 40 lat temu, w chwili wyzwolenia obozu przez wojska marszałka Koniewa. Wstrząsa uławną prawdą wyrachowanego sadzimu faszystów Tortury, komory gazowe, dymiące kominy krematoriów, rozstrzelania, zabijanie. Nie kończące się pastwienie nad ludźmi. Ale...

Jest to „ale” i nie sposób tego ominąć za pomocą jakichkolwiek niedomówień i wykrętów. W filmie nie ma ani jednego słowa o setkach tysięcy radzieckich jeńców wojennych, którzy zginęli w Oświęcimiu. A przecież to właśnie oni w pierwszej kolejności padali ofiarami nieludzkiej, metodycznej eksterminacji. Cieszący się smutną sławą „Cyklon” po raz pierwszy został zastosowany we wrześniu 1941 roku. I właśnie 600 radzieckich jeńców wojennych zapłaciło życiem za ten złowrogi eksperyment. Nie, nie byli oni wszyscy pokornymi więźniami niemieckiego faszystu. Głodni, chorzy, wyczerpani — kontynuowali walkę. Męstwo było ich bronią.

W Polsce — zauważają radzieccy dziennikarze — odkryto 205 zbiorowych mogił radzieckich jeńców wojennych, gdzie znajdują się prochy 800 tysięcy ludzi. Trudno w to uwierzyć, ale obecnie z tej liczby znane są nazwiska tylko 611 osób. Zdamy sobie sprawę, że wszystkich nazwisk nie uda się ustalić z absolutną pewnością. Rzeka czasu wiele skryła przed nami na zawsze. Ale bezduszkuswino jest jedno: należy zrobić wszystko, co możliwe. Niedopuszczalnym jest aby nadal w lasach i na polach, gdzie w okolicach miast i wsi pozostawały nagrobki bezimiennych mości, które rozmywa deszcz i zanoszą śnieg.

Być może, środki, które traci się obecnie na tradycyjne wizyty i ceremonie w przeróżnych komitetach, lepiej byłoby wykorzystać na wzniesienie choćby skromnych, pamiątkowych znaków na mogiłach poległych? Być może — postulują wystawnie „Prawdy”, podkreślając zarazem, iż zachowanie pamięci o poległych jest naszym obowiązkiem.

"Witamy wszystkich dzieci" — powiedział pierwszego wieczoru Janusz Swierczyński i tym sposobem festiwal rozpoczął się od błędnego językowego, który pojechał, niestety, w Polskę i dalej.

Zauważając słabe, niepełne, zredagowane niezręcznie zapowiedzi konferansjerzy odczytywali z kartek, przedstawiając sobą taki poziom, że gdyby mieli trochę ambicji, nie pokazywaliby się teraz w telewizji. Dotyczy to przede wszystkim p. Dowbor, która jako prezenterka prezentuje głównie własne samopoczucie, nieustannie znakomite. Tak się złożyło, że zarówno p. Dowbor, jak i mająca w festiwalu mniejszy

choć przeczytał to, co napisała o Duna-jewskim — mówili mi dziennikarze akredytowani z Polski. Natomiast dzień nikarze radzieckie, którzy oczekiwali tego koncertu ze szczególnym zainteresowaniem, po obejrzeniu go nie kryli rozczarowania i oburzenia.

Podczas gdy na estradzie ciągnął się beznamiętnie ten, pożałujcie Boga, koncert, na widownię siedział syn Izaaka — Maksym Dunajewski, także kompozytor i pianista, ponadto człowiek o bardzo pięknej powierzchowności, mający wszelkie atuty, aby pokazać się na scenie. Gdyby wystąpił w tym koncercie, byłby jego ozdobą. Ale kierownictwo

się jako książę estrady otoczony własnym dworem, choć już nie tak wspaniały i głośno, jak przed dwoma laty.

Amatorzy stanowili grono na przeciętnym poziomie, szczególnych objawień nie było. Na tym tle zajął się ta-lent wokalny Elżbiety Korkus nagrodzonej „Srebrnym Samowarem”. „Złoty Samowar” przypadek gorszej wokalistki, ale obdarzonej temperamentem i zdolnym Katarzyną Ulicką, która piosenką o Chaplinie umiarkowanie i dość wdzięcznie oscylowała w kierunku gro teski.

Niejednakowe i niespójne brzmienie akompaniamentu wprowadzało uważne-



Katarzyna Ulicka: radość z nagrody

Fot. B. BUGIEL

POD CHŁODNYM SAMOWAREM

udział druga pani, należała do osób posiadających tzw. drewniane głosy, co jest znośne w życiu codziennym, ale staje się znaczącą wadą, gdy głos służy jako narzędzie pracy. Doprawdy, trzeba więc nie lada tupetu, by nie posiadając głosu, wdzięk, nerwu estradowego i nie umiejąc postąpić się biegle językiem polskim, pchać się na estradę!

Aby być konferansjerem, nie wystarczy dobre chęci, szczerzenie zębów i powtarzanie „proszę państwa”. Od sposobu zapowiadania w dużej mierze zależy odbiór estradowych produkcji. Nie stety, sztuka wiązania koncertu słowem obca jest czterem osobom: sprawozdawcy w tym roku do Zielonej Góry z Telewizji Polskiej. Toteż ze sceny wiało zimnem, niekompetencją, brakiem elegancji w geście, a wszystko, co mówili państwo z TV, brzmiało w odczuciu od całosci.

Janusz Swierczyński, mimo wszystko z tej czwórki najbardziej znośny, sam padł ofiarą błędów w festiwalowym albumie przechrzczonego na Andrzeja. Skoro już o albumie, to zasługuje w jury kompozytor radziecki Aleksander Żurbin z trudem rozpoznal swoje nazwisko, zmieszane na „Żurawin” i dziwił się, że jego dobrej znajomej, Irinie Ponarowskiej spolszczono imię na „Irena”.

Drugą plamę, już o rozmiarach skandalicznych, dało kierownictwo festiwalu koncertem pt. „Serce to najpiękniejsze słowo świata”. Koncert zapowiadany od miesięcy jako widowisko po święconie twórczości Izaaka Dunajewskiego, okazał się złą kopią przypadkowo dobranych piosenek, tańców i akrobacji na poziomie amatorskim, bez programu, scenariusza, jakiegokolwiek ciągu tematycznego bądź przewodniej myśli, i bez jakiegokolwiek informacji. Nie potrafi mówiono widzów kiedy był Dunajewski, co stworzył i dlaczego się nim zajmujemy. Jak można było zrobić koncert ku czci wybitnego radzieckiego kompozytora, a nie ukazać w nim jego sylwetki twórczej? Lepiej już było koncert odwołać, niż pokazywać coś takiego.

Składankę zmontowano w pośpiechu i była jak. Nie starczyło czasu nie tylko na sensowne ułożenie uboższego repertuaru, ale także na napisanie słowa wiążącego. — Można było dać Swierczyńskiemu „Nadodrze”, niechby

artystyczne nie uznano za stosowne wygrać ten rzadki fakt — obecności syna — artysty na koncercie poświęconym pamięci artysty — ojca. Był więc to wieczór straconych szans.

Trzecią plamę dali polscy piosenkarze profesjonalni. Zaprezentowali się poniżej stanu, w jakim znajduje się polska estrada, mianowicie — stanu wyleciałego ubóstwa i beztalencja. Co za wstyd — w zestawieniu z absolutną doskonałością artystów radzieckich! Porównania nie wytrzymała nawet Krystyna Prońko. Wytrzymał je może tylko nie Krzysztof Krawczyk, który pokazał

go słuchacza w niepokój. W paru miejscach zabrakło zgrania solisty z orkiestrą. Podczas fatalnego koncertu „Serce to...” zaszło nieporozumienie między orkiestrą a wykonawcą (M. Świącieckim) i piosenka, której inscenizacja początkowo wydawała mi się dość ładna, została jakby skrócona lub przetrwana. W tym samym koncercie chórek wystawiony do przodu nie znalazł tekstu. Orkiestra swoje, chórek swoje.

W piosence „Szła baba na jarmark” śpiewanej przez amatorkę Joannę Jeremolowicz, wystąpili trzej muzycy z or-

kiestry. W pewnej chwili wśród zielonogórskich skrzypków nastąpiło ożywienie i parę rąk zaklaskało do rytmu. Te dwa sympatyczne momenty nasunęły widocznie wspomnienia świętych festiwalowych nastrojów, gdy orkiestra (Rachonia, Debicha, Majewskiego, Millana) bawiła widownię i bawiła się sama, stanowiąc silny element całosci.

Festiwal uratowali artyści radzieccy. Byli wprost wspaniali! Pokazali, jak powinna wyglądać prawdziwa sztuka estradowa. Styl, jaki jeszcze do niedawna u nich pokutował, zniknął bez śladu. Nasza młodzież muzykująca, która uważała, że wszystko nowe i ciekawe płynie tylko z Zachodu, teraz może przeorientować się — np. z Madonny czy Samantha Fox, na Irinę Ponarowską czy Lajmę Vaikule, które śpiewają i tańczą lepiej, niż znane zachodnie gwiazdy.

Patrzyłam ze smutkiem na nasze profesjonalistki wykonujące rękami ruchy „czyszczenia szyb” i otwierające usta jakby chciały połknąć mikrofon albo stojące niczym pomnik matki Polki. Podrygi piosenkarki Kayah, której przyszło wejść na estradę zaraz po ślicznej i utanczonej Irinie Ponarowskiej, przypominały dreptanie niedźwiedzia po gorącej blasze. No cóż, nie mamy w Polsce szkoły estradowej.

Wspaniała i śmiała awangarda muzyczna pokazała rewelacyjny zespół „Bravo”, z solistką (przypominającą odrobinię styl Desirées) — wykonawczynią światowego przeboju „Voyage, voyage” — pełną wdzięku Zannę Abgurazową. Prawdziwy gejzer talentu i temperamentu obawiała Tatiana Marcinkowska. Szturmem zdobyła serca młodej publiczności Misza Muromow i Oleg Iwanow.

Dzięki udziałowi radzieckich wykonawców, koncertowi „Gwiazdy estrady radzieckiej” dorównała „Gala 88”, w której znalazło się to, co zdaniem reżysera (nie pokrywającym się w pełni ze zdaniem publiczności, co poznać można było po sile oklasków) w całym festiwalu było najlepsze. „Gale” zakończyła chóralnie odśpiewana piosenka Duna-jewskiego „Serce”. Można było wykorzystać ekran i podać widowni tekst refrenu, a wówczas jak to przy innych

okazjach powtarzała bez sensu p. Dowbor, byłaby „znakomita zabawa”.

Nie było spotkania dziennikarzy z radzieckimi kompozytorami. Nie było spotkania dziennikarzy polskich i radzieckich z kierownikiem artystycznym i reżyserem, brakło więc okazji, by porozmawiać o nowych trendach i stylach oraz wygnać, co kto myśli.

Goście radzieccy wnieśli powiew pierestrojki, ale festiwal nasz w dziwny sposób cofnął się w epokę lodowca. Tak czasem bywa, że wszyscy chcą dobrze, a efekt wypadu przeciwnie. Przykładem jest kolejna plama: tym razem dała ją Telewizja Polska, retransmitując w niedzielę 11 czerwca ostatni festiwalowy koncert totalnie okrojony i obdarty z nastroju, urody, barwy dźwięku. Najlepsza piosenka Iriny Ponarowskiej „Hej grajdanka” została wycięta, Lajmę Vaikule pokazano tylko w jednym utworze, a zespołu „Bravo” nie pokazano wcale.

Rozpięte nad sceną niebieskie przeciwdeszczowe płaszcze, z których kapalo wykonawcom na głowy, efektownie wyglądające w amfiteatrze, w telewizji dawały to ciemne, zimne i ponure.

W przyszłym roku Festiwalowi Piosenki Radzieckiej wypadnie jubileusz 25-letni, a mnie moje skromne 20 lat od kiedy o festiwalu tym piszę. Chciałabym za rok napisać jak najlepiej!

HALINA AŃSKA

P.S.

Uwagi kolegów z redakcji:

1) Amatorzy śpiewali teksty w oryginale jak Murzyni z Konga. Dwójka z rosyjskiego!

2) Doszło do tego, że festiwal związany jest z Zieloną Górą tylko terytorialnie, natomiast wszystkie funkcje dydaktyczne, oprócz kelnersko-hotelowych, opanowała warszawska chałtura. A kiepskie piwo pijemy później my!

(ha)



Zespół „Bravo” w karykaturze Leszka Hermanowicza

PALETY I PIÓRA

Tradycyjnym już zwyczajem, z okazji kolejnego Festiwalu Piosenki Radzieckiej, do Zielonej Góry przyjechałi plastycy i pisarze Kraju Rad. Ci pierwsi udali się w towarzystwie polskich artystów na Plener Przyjaźni w Lagowie. W tym roku wzięli w nim udział: Oksana Sileta, Siergiej Kuczuk, Rimas Biczumas, Allamurat Muchamedow i Aleksander Szeltunow ze Związku Radzieckiego oraz Janina Zembajtel, Maria Zanto-Kurka, Janina Edward Habbasow, Stefan Słocki, Adam Bagiński, Stanisław Czarnecki, Stanisław Antosz, Telemach Pilitides, Paweł Lasik, Franciszek Maśluszczak, Juliusz Woźniak, Jan Cegiełka i Jan Grodek, reprezentujący różne ośrodki plastyczne w kraju i Ziemi Lubuskiej. Wielu z nich nie po raz pierwszy zjawiało się w Lagowie, gdyż kiedyś już urzekli ich unikalnie piękne tutejsze krajobrazy. Przyjeździ z sobą prace z ubiegłorocznego pleneru, będące własnie wyrazem ich lagowskich fascynacji. Wstawę tych prac urządzono w zielonogórskim Biurze Wystaw Artystycznych. Tymczasem plastycy sięgnęli po palety i pędzle, i z ich się znów miejscowym pejzażem. Plon tego pleneru, który odbywał się pod troskli-

wym okiem artystki-grafika z Zielonej Góry Jolanty Zdrzałki, obejrzymy w przyszłym roku.

Na razie piękna niespodziankę przygotowało nam Muzeum Ziemi Lubuskiej. W jego salach otwarto bowiem interesującą ekspozycję ikon rosyjskich, głównie z XVIII-XX w. Pocho-dzą one ze zbiorów Działu Sztuki Dawnej i — jak napisano w katalogu — „prezentują umowy, uduchowiony świat symboli”. Jeśli w tym wypadku można mówić o pewnej jednolitej, charakterystycznej dla ikon, konwencji, to na przykładzie prac poplenerowych artystów radzieckich widoczne jest poszukiwanie własnych stylów wy-powiedzi, widoczne są mocno zróżnicowane osobowości twórcze.

Plener Przyjaźni towarzyszył Festiwalowi Piosenki Radzieckiej po raz trzynasty, natomiast Dni Literatury ZSRR odbyły się już po raz piętnasty. W tym roku do Zielonej Góry przyjechała delegacja radzieckich pisarzy w składzie: Fazu Aliejewa — poeta z Dagestanu, Mirza Kenzabajew — poeta z Uzbekistanu, Piotr Gradow — poeta i dramaturg z Moskwy oraz Walerij Skwarcow — pisarz z Białorusi. Z Niemieckiej Republiki Demokra-

tycznej w Dniach Literatury Radzieckiej uczestniczyli: Renate Schneider — literaturoznawca oraz Wolfgang Schneider — sekretarz Okręgu Kulturbundu w Cottbus.

Program tegorocznych Dni był bogaty i urozmaicony. Jak zwykle przewidywał liczne spotkania pisarzy z czytelnikami i gospodarzami miasta oraz województwa, zwiedzanie placówek kulturalnych oraz — dwudniowe Ogólnopolskie Sympozjum Ruskistyczne, zorganizowane przez Katedrę Filologii Rosyjskiej WSP, Zarząd Województwa Polskiego Towarzystwa Ruskistycznego, Lubuskie Towarzystwo Kultury, Zarząd Wojewódzki TPP-R i zarząd Oddziału Związku Literatów Polskich.

Podczas pierwszego dnia pobytu gości z ZSRR odbyło się wiele rozmów z udziałem zielonogórskich literatów, związanych z wymianą doświadczeń i dokonującą się w Związku Radzieckim przebudowa. Następnego dnia goście uczestniczyli w otwarciu Sympozjum, na które przyjechało wielu ruskistów z licznych ośrodków naukowych kraju i z zagranicy. Rektor WSP prof. Kazimierz Bartkiewicz serdecznie powitał wszystkich przybyłych na Sympozjum, poczem wystąpił Fazu Aliejewa z pięknym przemówieniem o kulturze rosyjskiej. Wykład inauguracyjny na temat twórczości popularnej w tradycji krytyki i literaturoznawstwa rosyjskiego wygłosił prof. dr hab. Paweł Iwiński z warszawskiej Filii Instytutu Języka Rosyjskiego im. A. Puszkina. Późniejsze obrady toczyły się w trzech sekcjach: historycznoliterackiej, językoznawczej i dydaktycznej.

Tego też dnia radzieccy i niemieccy goście, w towarzystwie zielonogórskich literatów, spotkali się z władzami uczelni, zwiedzili Muzeum Ziemi Lubuskiej oraz przy wspólnym stole zastawiali się nad osiągnięciami i przyszłą formułą Dni.

Kolejny dzień został poświęcony spotkaniom z czytelnikami w niektórych miejscowościach województwa. W Lubsku i gminie Brody przebywali: Fazu Aliejewa, goście z NRD oraz Henryk Szyłkin. Dzień z miejscowej szkoły podstawowej powitały dagestańska potęka popisem taneczno-wokalną a ona w rewanżu zaprezentowała taniec ludowy. W Gubinie gościli: Paweł Gradow, Walerij Skwarcow, Janusz Koniusz oraz Michał Kaziów z Haliną Lubiez. Natomiast Krosno odwiedzili:

Mirza Kenzabajew, Czesław Sobkow, Gustaw Łapszyński i Zbigniew Ryndak.

Ostatni pracowity dzień pobytu radzieckich twórców w Zielonogórskim upłynął na zwiedzaniu miasta, spotkaniach z władzami politycznymi i administracyjnymi województwa oraz bezpośredniej rozmowie z prezydentem miasta, Antonian Grzegorzewską.

ZENON LUKASZEWICZ



Od lewej: W. Skwarcow, F. Aliejewa, J. Koniusz, P. Gradow, A. Karpowicz i M. Kenzabajew

Fot. B. BUGIEL

Piotr Piotrowski

Iskra Wolsztyn, sekcja przy Między-
szkolnym Związku Sportowym, też ma

Medali jest dużo, dyplomów jeszcze więcej. Nikt nie wie, kto dziś ze stających na podium zaznaczy się w historii sportu. Musi jeszcze podnieść tysiące ton żelazta, przebiec i przepłynąć setki kilometrów. Musi być nieprzemakal-ny.

Ciąg dalszy ze str. 1

To nie do pomyslenia, aby w tak re-
nomowanej miejscowości, jaką jest Ła-
gowo, nie było wodociągów. Już w nie-
jednej wsi nie mającej takich ambicji,
wodociąg jest, myśli się nawet o gazy-
fikacji. I to jest kolejna pasja inż. Bar-
szcza. Wodociąg realizuje się etapami,
częściowo ze środków inwestycyjnych,
ale w zasadzie przy pomocy mieszkań-
ców. Funkcjonuje Społeczny Komitet
Budowy Wodociągu. Dokonuje się wy-
miany sieci na osiedlu Lecha. Tu wiel-
ce pomocne są środki z tytułu uczestni-
stwa w krajowym i wojewódzkim kon-
kursie „Mistrz Gospodarności”. W mi-

nionej kadencji wpłynęło z tego tytułu do gminnej kasy ponad 20 milionów złotych. Ale jak twierdzą: naczelnik Mirosław Popko i Teresa Matys — sekretarz Urzędu Gminy w Łagowie — zawsze był tutaj i jest nadal problem — co robić, kosztem czego?

Przy takiej wielości zadań, jakie sobie tutaj stawiała, a jest wśród nich

także lansowana przez Bogusza Barz-
cza myśl o doprowadzeniu do Łagowa
gazu, to jest rzeczywiście problem. Prze-
cież gaz jest już w Świebodzinie, a w
Łagowie oznaczałby inną jakość życia.
Wiele wskazuje na to, że i te myśli uda-
mu się wprowadzić w życie, jeśli nadal
przewodniczyć będzie Gminnej Radzie (pi-
szę to tuż przed wyborami! - niczego
przesać nie można) ale już wiadomo,
że byłaby to również kosztowna, jak po-
przednie, inwestycja. I znowu gminnych
pieniędzy nie wystarczy. W związku z
tym myśli się, jak tych pieniędzy przy-
spórzyć, aby starczyło ich na cele głów-
ne, ale też na rozwiązywanie innych
niemniej ważnych spraw. Na ratowanie
chylącego się ku upadkowi zamku, któ-
ry jest symbolem Łagowa. Spieć się
wokół niego mury oporowe wymagają
natychmiastowych działań ratunkowych.
Na ekspozowanej w czasie sesji wysta-
wie zwracało uwagę zdjęcie tego obiek-
tu z wymownym podpisem: „najpięk-
niejsze mury, potomek zamku”. Remont zamku

sora, dzięki któremu uległ także poprawie stan dróg w gminie — są siłą rzeczy jednak ograniczone. Można się tylko dziwić dlaczego zamkiem, posiadającym tak piękne tradycje nie zainteresował się na przykład ORBIS, jako firma najbardziej mu odpowiadająca?

Jak ten remont, przeprowadzany przez poznajskie Przedsiębiorstwo Konserwacji Zabytków będzie wyglądał z punktu widzenia Zielonogórskiego Konserwatora Zabytków i Biura Konserwacji Zabytków, to już inna sprawa. Faktem jest jednak, że sporządzona jeszcze w 1976 r. przez zatrudnionego w tym czasie w tym biurze inż. Krupkę, opinia techniczna na temat budzącego już wówczas niepokój stanu murów oporowych zamku, do dzisiaj spoczywa w archiwach BKZ, pod zamkiem zaś leży w nieładzie kilka tysięcy (?) spoconej cegły gotyckiej, zakupionej kiedyś przez Konserwatora, która miała być właśnie do remontu tych murów wykorzystana.

przeprowadzany staraniem jego nowego użytkownika (po osławionym Luboturze, który przez lata doprowadził do znacznej dewastacji zamku) jakim jest Rejon Dróg Publicznych w Świebodzinie, sprowadza się do zaledwie kosmetycznych zabiegów w jego wnętrzach. Nic dziwnego, możliwości takiego spon

Osobna sprawa to rewaloryzacja łagowska starówki, dobiejane przez trwający tu nadal dość intensywny ruch kołowy i ząb czasu. Po wyremontowaniu Bramy Polskiej, w której mieści się GOK, już sypie się Brama Marchijska. Mówi się o konieczności wyprowadzenia ciągu komunikacyjnego poza obręb murów, nad brzegi jeziora. Ale do tego, a także do rozwiązania innych spraw, które powinny być przy tym uwzględnione, potrzebną jest szcze gółowy plan zagospodarowania starówki. Na razie takiego planu nie ma. Może on powstać dopiero po opracowaniu ogólnego planu zagospodarowania prze strzennego Łagowa.

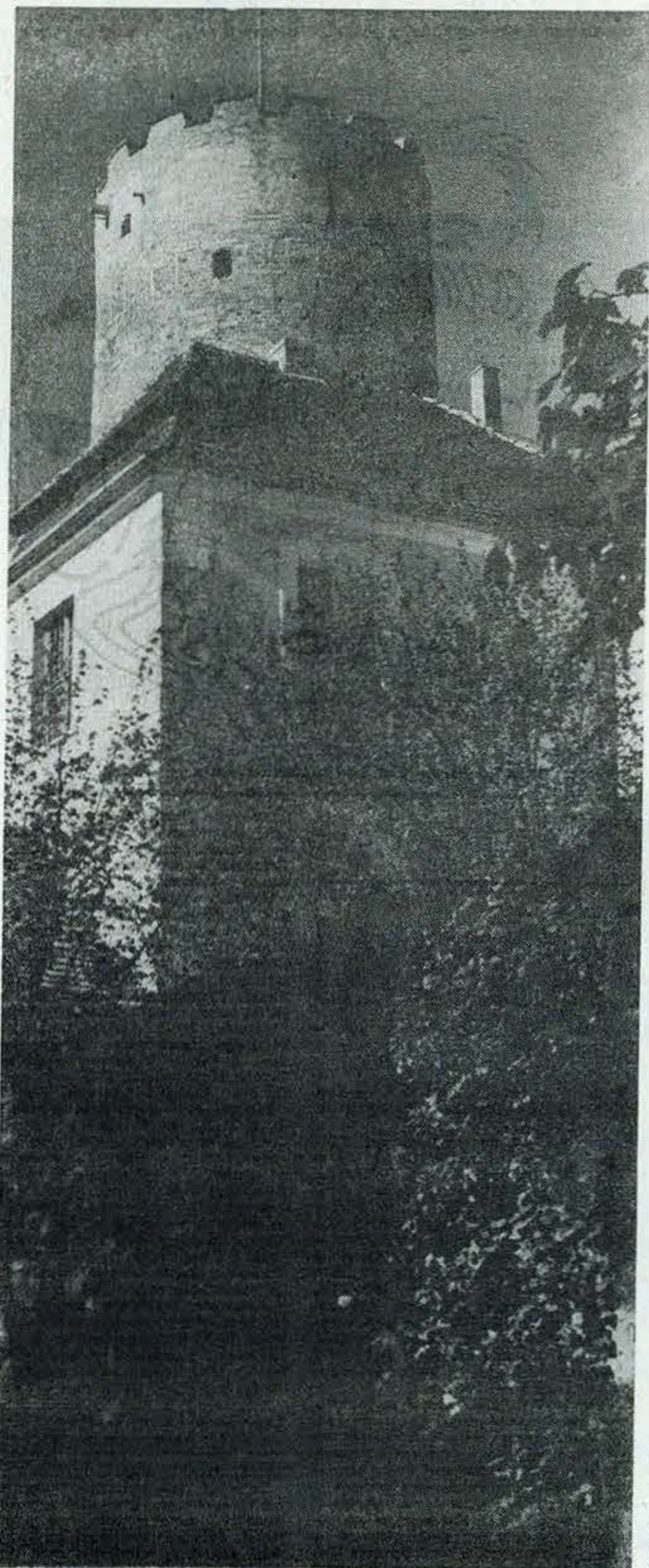
Skąd wzięć na to wszystko dodatkowe pieniądze, nie licząc tylko na fundusze z własnych i wojewódzkich źródeł? Nad tym głowią się władze i dzisiaj czw. w Łagowie. Oto jeden z pomysłów: od lat stożki zakorkowane ujęcia wody mineralnej, niewykorzystane źródła solanki, pokłady borowiny na pobliskich torfowiskach. Może więc przynajmniej część z tego wykorzystać zanim pobuduje się zakład przyrodolecznicy, bo szpital i sanatorium to kwestia odleglejsza — i uruchomić rozlewnię wody mineralnej, której brakuje nie tylko w Łagowie ale też w całym województwie? To nie kosztowałoby wiele, jeśli problemem nie do pokonania nie okazałby się butelki, a zwłaszcza kapsle do nich. To jest kopaliną pieniędzy, które zasoby są pokazać, a które mogłyby zasilić kasę gminy. Pomysłem tym mógłby się zainteresować np. dyrektor zielonogórskiej wytwórni i rozlewni win, który rozlewa ostatnio nawet olej jadalny, jeśli zachębalby z władzami gminy wejść do spółki.

Lągów ma wielu zagorzanych zwolenników i przyjaciół nie tylko na Ziemi Lubuskiej, ale także bez mała w całej Polsce. Bo ludzie zjeżdżają się tu licznie. Może sensowne byłoby odwołanie się do nich poprzez Towarzystwo Przyjaciół Łagowa i władze gminy z myślą o utworzeniu Społecznego Funduszu Rewaloryzacji Łagowa? Przecież Łągów, ze względu na swój unikalny charakter na środkowym Nadodrzu, zasługuje na to. Może należałoby reaktywować czynny w latach siedemdziesiątych Zespół ds. Aktywizacji Łagowa w Zielonej Górze? Zwracamy na to uwagę władz wojewódzkich, które dwa lata temu, na publicznym spotkaniu przy naszym udziale w Łagowie deklarowały daleką idącą pomoc Łagowowi.

Działaczom TPL oddajemy pod roz-
wagę propozycję powołania w Zielonej
Górze, a później w innych miejscach
Polski, np. w Warszawie lub na Śląsku
(wszak Huta Katowice buduje tutaj je-
den z najpiękniejszych swoich ośrodków
wypoczynkowych) oddziałów Towarzystwa
Przyjaciół Łagowa, które byłyby os-
rodkami jego promocji? Bo ranga Ła-
gowa, ze względu chociażby na jego bli-
kość zachodniej granicy i przebiegającą
w jego pobliżu tranzytowa trasę z za-
chodu na wschód, będzie rosnąć. Mie-
liśmy już okazję to sprawdzić, kiedy
granica ta była otwarta. Idzie jednak
o to, by ta ranga rosła w sposób prze-
myślany i odpowiadający końcowi dwu-
dziestego wieku.

WIESŁAW NODZYŃSKI

PS. Wojewódzka Rada Narodowa w Zielonej Górze przyznała nagrody w konkursach „Mistrz gospodarności” i „Więć zielonogórska gospodarnia i kultu rałna” za rok 1987. W tym pierwszym konkursie Łagów uzyskał tytuł więcej strzowski i nagrodę 3 mln zł; w drugim i miejsce (obok Nowego Kramka) i na grode 4 mln zł. Gratulujemy!



Fot. CZESŁAW ŁUNIEWICZ

ANDRZEJ KASPERSKI lat 20 z Zielonej Góry i MARIUSZ KOLBUSZEWSKI lat 19 z Nowej Soli, tegorocznymi maturzystami i absolwentami zielonogórskiego Zespołu Szkół Elektrycznych, skonstruowali urządzenie do rehabilitacji dzieci niepełnosprawnych, uhonorowane II nagrodą w Wojewódzkim Konkursie Młodych Mistrzów Techniki.

Pierwszy krok w życie

— Kiedy rozpoczęliście współpracę i skąd wziął się pomysł?

ANDRZEJ: — Na początku roku szkolnego postanowiliśmy, że zrobimy wspólnie pracę dyplomową, taką, która jak większość prac pójdzie do lamusa i nie będzie tylko sztuką dla sztuki.

MARIUSZ: — Kiedyś robiliśmy kolekcję zdjęć z pracy dyplomowej, którą stanowiły zabawki dla dzieci niepełnosprawnych. Spodobała nam się ta idea.

ANDRZEJ: — Skonkretyzowaliśmy plany i zgłosiliśmy je wykładowcy mgr inż. Wojciechowskiemu, który je zaakceptował. Następnie zaczęliśmy pracować nad szczegółami obu części: mechanicznej i elektronicznej oraz synchronizacją wszystkich elementów.

MARIUSZ: — Powstały cztery projekty, z których przy konsultacji z wykładowcą oraz specjalistami z Wojewódzkiego Ośrodka Rehabilitacji, wybraliśmy projekt najlepszy.

ANDRZEJ: — Obudowę całości zrobiliśmy ze szkła.

MARIUSZ: — ...a te małe ludziki na malował nam uzdolniony plastycznie kolega.

— Praca taka wymagała spokojnego miejsca.

ANDRZEJ: — Mieliliśmy je na stacji Mariusza. Spotykaliśmy się tam prawie codziennie przez kilka miesięcy.

MARIUSZ: — Gdy konstrukcja była już cała, okazało się, że muszą zostać wymienione niektóre układy.

ANDRZEJ: — Zżyliśmy się pracując razem i w przyszłości mamy ochotę coś jeszcze zrobić wspólnie.

MARIUSZ: — Też coś takiego, co służyłoby dzieciom niepełnosprawnym. Jest to wdzięczne pole działania.

— Urządzenie Wasze, jak wiem, używało pozytywną opinię w Wojewódzkim Ośrodku Rehabilitacji w Świebodzinie.

MARIUSZ: — Dyrektorka, pani dr Wanda Kotwicka sprawdziła działanie urządzenia na dzieciach i była zadowolona z efektu. Pozytywny wynik potwierdził psycholog i psychoterapeuta.

ANDRZEJ: — Dobrą opinię otrzymaliśmy również z Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Zielonej Górze, pod pisaną przez ortopedę dr Edwina Pogołę.

— Słyszałam, że urządzenie przekazałście do Świebodzina, a tymczasem stoi ono w szkole.

ANDRZEJ: — Zostało wypożyczone tymczasowo na wystawę prac dyplomowych i nagrodzonych w konkursie. Po zakończeniu wróci do Świebodzina, by służyć celowi, dla którego je skonstruowaliśmy.

— Wasza praca mogłaby posłużyć za prototyp do serii takich urządzeń. Co o tym myślicie?

ANDRZEJ: — Nie mielibyśmy nie przeciwko temu.

— Podobno mi się ten Wasz, wybacze, że zmienię określenie, aparat. Wygląda wesoło, jak zabawka.

MARIUSZ: — Bo też nią jest. Służy do zabawy, przy której dziecko niepełnosprawne ćwiczy rączki, a ponadto musi myśleć. Zabawa polega na wdrożeniu do labiryntu, z przeszkodami. Natrafiając na przeszkodę dziecko musi za stanowić się, nim przekreci odpowiedni kluczyk, odemknie właściwe drzwi, wrzuci monetę do tarczy telefonu. Pokonywanie przeszkód wymaga takich

ruchów rąk, jakie są konieczne w życiu codziennym. Na finał odzywa się krótką elektroniczną muzyką.

— Jesteście technikami w dziedzinie radia i telewizji. Czy umiecie naprawić telewizor?

MARIUSZ: — Teoretycznie tak.

ANDRZEJ: — Gorzej z praktyką...

MARIUSZ: — Program nauczania w technikum jest ustawiony nonsensowo. Naukę zawodu rozpoczyna się dopiero w trzeciej klasie, natomiast w klasach pierwszej i drugiej ładuje się w uczniowską wiedzę, która, jak się w końcu okazuje, jest w tym zawodzie zbędna.

ANDRZEJ: — Chcę dodać, że choć ogólny poziom w szkole jest wysoki, to jednak przywiązuje się mało wagę do

przedmiotów ściśle zawodowych, takich, które w przyszłości przydadzą się radio-technikowi w pracy.

— Dyplomy w rękach, w głowie szum od pochwał. Ja też gratuluję Wam pomysłu i zdanych matur. Co dalej?

ANDRZEJ: — Egzaminy na studia. Oba chcemy się dostać na informatykę do Wrocławia.

— A jeśli się nie uda?

ANDRZEJ: — Musi się udać!

MARIUSZ: — Ale trzeba się liczyć też z niepowodzeniem. W takim przypadku pozostanie nam podjęcie pracy i wojsko, a studia potem.

ANDRZEJ: — Tymczasem czekamy na wyniki Ogólnopolskiego Konkursu Młodych Mistrzów Techniki, na który wysłany został projekt naszego urządzenia.



Autoryzacja ze skonstruowanym przez siebie urządzeniem Fot. CZ. LUNIEWICZ

Losy Kampanii Wrześniowej rozstrzygnęły się nie na tych kierunkach, które starał się rozpoznać II Oddział Sztabu Głównego Wojska Polskiego czyli w rejonie MRU. W 1939 r. fortyfikacje niemieckie na wschodzie, poza tym że niektóre z nich posłużyły za rejon koncentracji wojskowej, nie odegrały poważniejszej roli bojowej. Załogi bunkrów nie miały potrzeby włączania się do działań. Mimo to w następnych miesiącach dowództwo Wehrmachtu w dalszym ciągu rozbudowywało ten system obrony. Jednakże w 1941 r. w momencie rzeczywistych osiągnięć armii niemieckiej prace zostały tu przerwane.

Dopiero w drugiej połowie 1944 r. w miarę zbliżania się wojsk radzieckich do granic Rzeczypospolitej, przystąpiono do wykańczania przerwanego robót oraz modernizacji i rozbudowy niektórych urządzeń. Wiele już razy w historii, gdy wybiła godzina próby, potężne fortyfikacje nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Dowództwo hitlerowskie zaskoczono w początkach 1945 r. rozmachem radzieckiej ofensywy nie było przygotowane do odpowiedniego wykorzystania takiego atutu, jakim był Międzyrzecki Rejon Umocniony. Część załóg wycofano wcześniej z zajmowanych pozycji i rzucono na najbardziej zagrożone odcinki frontu. Ogółem w ten sposób potężne bunkry. Pozostały tam bowiem niewielkie tylko kontyngenty.

Wykorzystały to nacierające armie: I radziecka armia pancerna gwardii pod dowództwem generała Michaiła Katukowa i 8 armia gwardii pod dowództwem generała Wasylija Czujkowa, bohaterów pod Stalingradem. W ostatnich dniach stycznia 1945 r., w końcowej fazie operacji wiślańsko-odrzańskiej, mimo że dowództwo radzieckie dysponowało tylko fragmentarycznymi informacjami o dyslokacji poszczególnych umocnień i szczegółach technicznych, wydzielone jednostki z impetem i z marszu przedarły się przez pas umocnień i nagle znalazły się na ich tyłach. W utworzone w ten sposób luki w systemie obronnym wlały się główne siły i przy małych stosunkowo stratach opanowały ufortyfikowany rejon, który naczelnie władze III Rzeszy uważały za niemożliwy do zdobycia.

Zachowały się relacje uczestników tego wydarzenia. Oddajmy głos dowódcy jednego z korpusów pancernych wchodzących w skład I Armii Pancerniej, generałowi Amasypowi Babadżanjanowi.

„26 stycznia 45 r. Brygada Pancerna — pisał on — prowadziła bezskutecznie walki na ulicach Trzciela. W nocy z 26 na 27 stycznia nowy oddział wydzielony — 44 Brygada Pancerna gwardii pod dowództwem płk. Gusakowskiego — obszedł to miasto od północy, sforsował Obrę i nie napotykając oporu skierował swe uderzenie na wieś Wysoka... O g. trzeciej w nocy z 26 na 27 stycznia 1945 r. awangarda 44 Brygady Pancerniej, 3 batalion majora A. Karabanowa — niespodziewanie natknęła się na słup przeciwczołgowy uбитe w środku szosy... Płk. Gusakowski od razu domyślił się, że trafił na rejon umocniony... Nie namyślając się wiele kazał powymować drogę z podstawi i w ten sposób otworzył drogę po czym kontynuował ruch na zachód. Był to właśnie ów Wał Wschodni, którym tak chwalił się Niemcy — Międzyrzecki Rejon Umocniony. Była to niezmierzona poważna i bardzo silna zbroja na drodze ku Odrze...”

Powróćmy za Babadżanjanem, że „Wał Wschodni” stanowił rzeczywiście nadzwyczajną potężną zaporę. Składał się z dużej ilości wielkich żelbetonowych schronów bojowych, zwanych „Panzerwerkami”. Wykonane były według osta-

tniego słowa ówczesnej techniki i uszczelnione na głębokość do 8 kilometrów. „Panzerwerke” były to dwa lub trzykondygnacyjne budowle na wieżach których znajdowały się ruchome kopuły pancernie osłaniające armaty i karabiny maszynowe. Grubość ścian i pował sięgała do dwóch i pół metra, a grubość pancerza kopuł do 350 milimetrów. „Panzerwerke” były powierzone systemem podziemnych przejść, wyposażone w agregaty zasilające w energię elektryczną, urządzenia filtrów wentylacyjne i własny system

Wokół „Pierścienia Nibelungów”

wodno-kanalizacyjny. Dysponowały też własnymi magazynami amunicji i żywności. Sieć tych żelbetonowych schronów umocniono fortyfikacjami typu polowego i osłonięto naturalnymi przeszkodami i sztucznymi zapora-mirowymi, słupami przeciwczołgowymi, stalowymi kozłami, polami minowymi. Przed głównym pasem ciągnął się z północy na południe długi łańcuch jezior. Rubież obrony stanowiła swego rodzaju gigantyczne podziemne miasto zbudowane z betonu i stali.

„Był to szczyt — pisał po latach Babadżanjan — w tym, że oddział Gusakowskiego natrafił na owe „uruta” w żelbetonowym murze Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Jednocześnie w tym — wydawałoby się — niedostępnym rejonie wykryto i inne słabe miejsca. Na przykład nie wszystkie obiekty obronne były obsadzone wojskiem. Umożliwiło to przenikanie w głąb umocnionego rejonu przez istniejące luki między schronami bojowymi. Wiele schronów obsadzili Niemcy przypadkowymi, wycofującymi się grupami żołnierzy, którzy nie znali struktury rejonu i dowódcami, którzy nie potrafili kierować walką w sieci „Panzerwerków”. Niektóre schrony bojowe w głębi były całkiem puste. Brygada Gusakowskiego, po przekroczeniu bramy, korzystając z milczenia nieprzyjaciela nie traciła ani jednego czołgu popędzła dalej na zachód...”

Cóż prawda po chwilowym zaskoczeniu, Niemcom na krótko udało się zamknąć wykrytą przez Gusakowskiego lukę, ale wkrótce potem umocnienia zostały przetrwane również na południe od Wysokiej i na północ od Świebodzina. I oto po upływie kilku godzin za tyłami umocnień znalazły się już znaczniejsze radzieckie siły. I wtedy załogi schronów bojowych „Wału Wschodniego” zaczęły poddawać się do niewoli.

General Wasylija Czujkow, dowódca 8 radzieckiej armii gwardii, podaje, że 28 i 29 stycznia 1945 r. do rzeki Obrę dotarły cztery dywizje jego armii oraz dwa korpusy pancernie i armii pancernej gwardii.

„Przyznaje — pisał po latach — że ze strachem było wysyłać nasze oddziały na potężne umocnienia. A co gorsza wyczerpały się nam zapasy amunicji. Ale nie wolno było czekać... Po analizie położenia podjęliśmy decyzję o ataku kowania z marszu MRU. To samo postanowił dowódca armii pancernej gen. Katukow... O powodzeniu zdecydowała inicjatywa żołnierzy...”

Tymczasem rozpoznanie donosiło, że Niemcy pospiesznie przerzucają nowe oddziały z Frankfurtu nad Odrą. Rzezywiście rano 31 stycznia 1945 r. Jedna z dywizji pojawiła się na wschód od Obrę. Doszło do walki w pasie pomiędzy Odrą a Międzyrzeckim Rejo-

Jak zdobyto Międzyrzecki Rejon Umocniony?

nem Umocnionym. „Na szczęście — pisał Czujkow — skierowana tutaj świeża nowo sformowana dywizja niemiecka, jak widac słabo zorientowana w rozmieszczeniach umocnień nie zdolała wykorzystać całej mocy swego ognia i dogodnego położenia. Walczyła niezbyt umiejętnie, choć uporczywie. Jeśliby dowództwo tej dywizji lepiej znało linie obrony i miało przynajmniej dwie doby na to, aby rozpoznać położenie i zorganizować system ognia oraz współdziałanie trudno powiedzieć, jaki byłby przebieg naszych działań. Prawdopodobnie musieliśmy toczyć długotrwale walki i ponieść znaczne straty. Ale udało się zmusić przeciwnika do ucieczki”.

Wzięty do niewoli dowódca owej pacho-wej niemieckiej dywizji general Lube w rozmowie „przy herbatce” z Czujkowem powiedział, że jego dywizja otrzymała ze Sztabu Generalnego rozkaz zajęcia przedniego skraj MRU i we współdziałaniu z załogami betonowych schronów bronić tego rejonu. Za wszelką cenę miał on uniemożliwić wojskom radzieckim osiągnięcie położonej na zachód od umocnień linii Obrę. Wyraził pogląd, że gdyby dotarł o dobę wcześniej do wyznaczonej linii i zajął ją, to wojska radzieckie nie zdobyłyby tak łatwo przelazła tej linii.

Niemniej nie było to zwycięstwo aż tak lekkie jak twierdzą niektórzy autorzy. General Czujkow podawał, że w owym czasie w pasie natarcia 8 armii gwardii w sumie zostało zabitych blisko 15.000 niemieckich żołnierzy a 20.000 dostało się do niewoli.

A co miał do powiedzenia w tej sprawie marszałek Żukow — ówczesny dowódca I Frontu Białoruskiego? W jego wspomnieniach znajdujemy następującą wzmiankę: „26 stycznia oddział rozpoznawczy I armii pancernej gwardii osiągnął Międzyrzecką Rubież Umocnioną i wsiadł do niewoli sporą grupę nie-

mieckich żołnierzy. Na podstawie ze-znanych jeńców ustalono, że rejon ten na wielu odcinkach nie został jeszcze obsadzony przez wojska niemieckie i że oddziały dopiero zbliżają się do niego. Dowództwo Frontu zdecydowało więc przyspieszyć natarcie głównych sił w kierunku Obrę i spróbować z marszu uchwycić przyczółki na jej zachodnim brzegu”.

Inten- hatarcie rozwijało się szybko i główne siły, po zdławieniu oporu nie przyjacielskiego na obszarze MRU wyszły w dniach 1-4 lutego nad Odrę i utworzyły przyczółki na jej zachodnim brzegu w rejonie Kostrzyna. Było to wielkim osiągnięciem. Stworzyło bowiem pozycje wyjściowe do niedalekiej go już natarcia na Berlin

Zachował się zapis radzieckiego dziennikarza, korespondenta gazety „Krasnaja Zwiezda”, Nikołaja Denisowa, który tak opisał swoje

wrażenia: „Na drodze naszych wojsk znajdowały się pozycje pośrednie z umocnieniami typu polowego, stare twierdze przystosowane do współczesnej walki, Wał Pomorski i stare umocnienia stukilometrowego „Czworokąta Od-zańskiego”. Były tam jedno i dwukondygnacyjne betonowe schrony bojowe z pancernymi kopułami o wielu otworach strzelniczych. Były tam ciekawe i artyleryjskie oraz przeciwczołgowe schrony betonowe z podziemną koleją i kazałami, rowy przeciwczołgowe z żelbetonowymi skarpami i opancerzonymi uroskami, słupy przeciwczołgowe i stożkowe „żęby smoka”, metalowe kozły i „jeże”.

A oto opis jednego z odcinków znajdującego się w pobliżu samego Międzyrzeckiego: „Skreśliśmy z szosy na prowadzącą do wzgórz polną drogę. Wkrótce natknęliśmy się na betonowe słupki przeciwczołgowe ciągnące się w ośmiu rzędach przez wiele kilometrów. Przed słupkami głęboki rów przeciwczołgowy, którego przedpiersie maskowały „zęby smoka” ustawione na żelbetonowych podstawach. Przez ten rów przerzucono drewniany mostek. Na jego powierzchni widac jednak kwadratowe wycięcia jak na parkiecie. Gdy po jawnie się nacierające czołgi, wyciągnięte owo kwadraty z nacierzchni — a wówczas z otworów wysuwały się żelazne słupy przeciwczołgowe. Podchodziliśmy do jednego ze wzgórz. Omotane drutem kolczastym, na szczycie opancerzone kopuły. Każde wzniesienie ogrodzone sześcioma rzędami drutu kolczastego. Zesłaliśmy zachodnim zboczem wzgórze i stanęliśmy pod drzewami prowadzącymi do podziemia. Po ich obydwu stronach umieszczono otwory

nia ze szczegółowym opisem oraz opiniami specjalistów z dziedziny medycyny.

— Co aktualnie czytacie?

ANDRZEJ: — „Trzech w linii prostej” Bratnego.

MARIUSZ: — Zabrałem się za „Dramaty” Witkiewicza. Ciężka to lektura, ale muszę przez nią przebrnąć.

— Dlaczego?

MARIUSZ: — Tak sobie postanowiłem.

— Większość Waszych rówieśników pasjonuje się muzyką.

ANDRZEJ: — My też, choć w sposób, jak sądzę, umiarkowany. Lubię havy metal.

MARIUSZ: — Słucham muzyki zależnie od okoliczności: czasem „Sztwiny Pal Azji”, czasem koncert Mendelssohna. Ostatnio interesuje mnie Szymanowski. Śpiewałem w szkolnym chórze i będę mile wspominał ten czas.

— Rozmawiamy siedząc na ławce przed Waszą szkołą przy ulicy Bema w Zielonej Górze. Obok przed hotelem „Polan” słychać pisk opon...

ANDRZEJ: — Przyjeżdżają samochody z zachodnią rejestracją czasem niewiele starsi od nas. Popisują się i chcą sprawić wrażenie, że żyje im się tak wspaniale. Ale kto wie, jak to na prawdę wygląda.

— A Was nie kusi zagranica?

MARIUSZ: — Może i kusi. Ale chce mi przede wszystkim zdobyć wykształcenie, aby potem pracować w dziedzinie, która przynosi nam zadowolenie. Chciałoby być „kimś” i czegoś dokonać.

ANDRZEJ: — Dobrym fachowcem również w kraju dzieje się niezle.

MARIUSZ: — Pragnęliśmy, aby Pani napisała, że jesteśmy wdzięczni na szemu wykładowcy i konsultantowi mgr inż. Ryszardowi Wojciechowskiemu.

ANDRZEJ: — Dziękujemy też wszystkim nauczycielom i kolegom, którzy pomogli nam w zrealizowaniu dyplomuwej pracy.

— Życzę Wam powodzenia w egzaminach oraz szczęścia, bo i ono jest w życiu potrzebne.

Rozmawiała HALINA ANSKA

strzelnicze. Korytarzyk ten przestrzelano. Na parterze znajdowały się kazałami, a w nich system sygnalizacyjny, wentylatory, elektryczność, telefon. I trzy rzędy przyc. Za tymi pomieszczeniami pokój łączności: centrala telefoniczna, z którą mogły łączyć się wszystkie schrony bojowe. W górnej kondygnacji były przejścia do wszystkich kopuł. Zesłaliśmy kretami, żelbetonowymi schodkami w dół. Po trzech biegach schodów zatrzymujemy się na podestu. Jesteśmy 15 metrów pod ziemią. Prowadzą stąd korytarze do pomieszczeń służbowych, magazynów amunicji i warsztatów pomocniczych. Znowu kilka biegów schodów. To już najniższa kondygnacja. Na głębokości 45 metrów obszerny tunel. Skracamy w lewo i wchodzimy do sali urządzeń energetycznych, które jeszcze działają... Na dolnym piętrze ciągnęła się podziemna galeria z koleją wąskotorową. Co 300 metrów mijanki. Na ścianach cyfry i strzałki wskazujące do którego schronu prowadzi rozgałęzienie. Las tych skomplikowanych obiektów osłaniały przeszkody wodne. Hitlerowcy wykorzystując system jezior, płytyk rzek i kanałów mogli zatopić duży obszar...”

To co pozostało po dawnych fortyfikacjach, jest już tylko ciekawym zabytkiem architektury wojennej. Kopuły potężnych bunkrów, przejęte jeszcze podziemne korytarze, sprawne urządzenia wentylacyjne są po dziś dzień dowodem potęgi militarnej i technicznej Trzeciej Rzeszy, a równocześnie świadectwem bezprzykładnej głupoty, którą poniosła ona w 1945 r.

Dziś mieści się tu... rezerwat nielotopery, jeden z największych w Europie. I od czasu do czasu rozważane i ogłaszane są najrozmaitsze projekty wykorzystania tych obiektów na różne cele gospodarcze (np. na magazyny, plan-tacje pieczarek itp.). Ostatnio sporo ro zgłosu nabrał mocno kontrowersyjny i budzący niepokój wśród miejscowej ludności projekt urządzenia w głębi bunkrów składowi odpadów promieniotwórczych. Ten projekt jest mimo wszystko ciągle jeszcze rozważany przez rzeczoznawców.

A może by udostępnić te obiekty za zapłatą publiczności, która mogłaby zwiedzać niektóre przynajmniej fragmenty. Oczywiście pod opieką wykwalifikowanych przewodników Nieobznajomiony z realiami turysta mógłby tu nieopatrnie wpaść w ciężkie tarapaty. Sporo już bowiem wydarzyło się w tym miejscu wypadków okaleczeń a nawet śmierci. Ich ofiarami padają lekkomyślni ciekawscy. Np. równo rok temu opinia publiczną wstrząsnęła tragiczna śmierć 16-letniej uczennicy, zam. w Jaworze w woj. legnickim. Brała ona udział w wyprawie harcerskiej pod nazwą „Bunkry”. Harcerze podzieliли się na trzy grupy i zwiedzali ruiny fortyfikacji bez przewodnika. W pewnym momencie uczennica owa pośliznęła się i spadła z wysokości 13 metrów ponosząc śmierć na miejscu.

Nie jest to niestety jedyny tego rodzaju wypadek. I dlatego ostrzegamy: bez doświadczonego przewodnika nie należy tam wchodzić.

WIKTOR LEMIEŚ



Danuta Lewandowska jako Pani i Dorota Wierzbicka w roli Solange w „Pokojukach” Geneta.

Fot. JERZY SZALBIERZ



„Hosanna” znaczy „pomóż, ratuj”

Program tegorocznych spotkań teatralnych w Gorzowie zamknięty został kłamrą dwóch przedstawień: „W nocy na starym rynku” Szurmiecia na motywach Lechaka Lejbussa Pereca i „Bramy raj” Zwodzinskiego na motywach powieści Andrzejewskiego pod tym samym tytułem. Oba utwory połączył nie tylko gorzowski przegląd, ale i pewien mit ukonkretniony w postaci miasta Jeruzolimy. Przedstawienia te na gorzowskiej scenie były prezentowane jako pierwsze i piąte, ale przecież mogło być odwrotnie — na początku droga do Jeruzalem, na końcu noc w Jeruzalem. Oczywiście w obu utworach o różne rzeczy chodziło, ale punktem najważniejszym była święta ziemia dwóch religii. Są to zapewne zestawienia spekulacyjne, dla laika artystycznego ważne. Biorąc za punkt wyjścia teatralnego, jest to, by rzecz o powieści, silnym akcentem zakończyć, dać dziełu odpowiednią puentę. Taką puentą tegorocznych spotkań powinno być przedstawienie „W nocy na starym rynku”: pantomima-misterium o zmaganiu się człowieka z jego losem, o losie człowieka uwikłanego w historyczne uwarunkowania, przez życie do śmierci. Zaś w środku gra zespołu, w którym wszyscy byli ważni: począwszy od latarnika, który dawał scenie światło, skończywszy na latarniku, który je wygaszał, wygaszając przedstawienie. Między wprowadzeniem na scenę światła, a jego zejściem (prawie biblijny motyw) przejawia się przed nami korowód postaci na tyle konkretnych, na ile symbolicznych, jak trzej kapłani, w których osobach zabaczyliśmy walkę trzech wyznań (możliwego, chrześcijańskiego i muzułmańskiego) o dusze zmagających się z naciśnięciem losu ludzi. Widzieliśmy na scenie pannę młodą pod chuppą (balda-chim ślubny, pod którym stawała obłubienica w czasie zaślubin), której wejście w radosną dojrzałość (ślub) zakończone jest jej owinięciem przez welon, jak owijano ciała w linańie pło tno przed złożeniem do grobu — treny weselny w znakomitym skrócie zmienił się w śmiertelny bandaż, w całun. Jest w tym przedstawieniu wiele odniesień do historii narodu żydowskiego, do Biblii, do Tory, których bez dobrego przewodnika trudno zrozumieć, ale więcej było uniwersalnych czytelności: walka dobrego ze złem, walka oporu materii ludzkiej i jej naturalnej niesforności wobec rygorów przedstawienia: tam wszystko było po trzebnym gestem i milczeniem, tam wrażenie potęgowała muzyka ze skąpymi wyrazami chóru, z których wyróżniało się „Hosanna”, co u Izraelitów znaczyło „pomóż, ratuj”. „Pomóż, ratuj”, zbaw ludzkość od zła, ale czym nasz doświadczysz, to od Ciebie przyjmujemy, nie wymawiając nawet Twojego imienia. Biorąc powiadano w księdze Genetis „I widział Bóg wsty skro, co uczynił, że było bardzo dobre...” Przedstawienie to można interpretować jako alegoryjną historię Izraela poczynając od Abrahama, skończywszy na rozproszeniu Żydów w świecie po stłumieniu powstania Bar Kochy przez cesarza Hadriana. Może też być potężnym śpiewem jedności ludu zespolonego wokół Tory, która dała im siłę do przetrwania w czas diaspor. Zostawmy jednak interpretację historyczną i teatralną, zostawmy przedmiot i zostawmy przy tym, że dostaliśmy duże przeżycie artystyczne, że puenta przeglądu pokracznym zrządzeniem losu pokazana została na początku.

Inaczej wyglądały „Bramy raj” Zwodzinskiego. Adaptator zbudował scenariusz na wątkach chrześcijańskich, jakie w krucjacie książki Andrzejewskiego są: kocha miłością fizyczną Jakuba Maud, spełnia swoje pragnienia Biana, odbywa się kontakt fizyczny mężczyźni-chłopcy. To wszystko w tekście jest, to nam adaptator przybliżył dość często, ale czy to jest w pierwotnym wzorze najważniejsze? Powieść Andrzejewskiego składa się jak pamiętamy z dwóch zdań: pierwsze ma 110 stron, a drugie brzmi „I szła cała noc”. Cała noc ich obłędnej krucjaty — dodajmy od siebie. Co jest tedy ważne w dziele? Sądzę, że to, iż szła cała noc, sobie nawet zauważył, że konstrukcja pierwszego zdania powieści (zdanie okres, dzielone za pomocą przecinkami, średnikami, wielokropkami, pytaniami) jest jak gdyby w samej formie wyeksponowanym pochodem: zdania zafaczących się, obolających powtórnymi, pełnym uderki pochodem dzieci-zdań. Ten pochod był dramatyczny. Oczywiście cierpienie jednostek najlepiej uwydatnia się w teatrze, ale nie zawsze to, co zbiorowe, można oddać tym, co jednostkowe — metafizyka owego strasznego marszu nie emanowała ze sceny. Pomyłka? Złe rozpoznanie rzeczywistości dzieła źródła? Może nawet kłopoty widowni szczegółem erotyki? To dziś robi się nagminnie, to dziś jest towarem zastępczym dawnego teatru ogródkowego, to są ambicje kopulacyjne w scenicznym wydaniu. Sądzę, że adaptator, reżyser i scenograf w jednej osobie nagrzewali wobec sztuki teatralnej tyle, co hrabia Ludwik wobec dzieci.

W spotkaniach gorzowskich brało udział sześć teatrów: Żydowski z Warszawy („W nocy na starym rynku”), Teatr Stu z Krakowa („Kto się boi Wirginii Woolf”), teatr z Ochoty w Warszawie („Morfina”), Teatr im. Osterwy z Gorzowa („Makbet”, „Pokojuki”), Teatr „Wybrzeże” z Gdańska („Portret”), Teatr Jaracza z Łodzi („Bramy raj”), Sześć teatrów, czterdzieści przed stawień, było co oglądać. Oczywiście nie wszystkie realizacje zrobiły na mnie tak duże wrażenie, jak „Noc na starym rynku”, ale przecież to i owo w pamięci pozostało, a ponadto uzyska łem trochę materiału do nowego wniosko skowania o teatrze. Dodatkowo zazna czyły mi się przedstawienia: „Kto się boi Wirginii Woolf?”, „Pokojuki” i częściowo „Portret”, a zdecydowanie negatywnie „Morfina”. Gorzowskiego „Makbeta” drugi raz nie oglądałem.

Dramaturgia Geneta pomimo jej niesłychanego reklamowania, nawet uświe cania przez wybitne umysły (Sartre), nigdy nie trafiła mi do przekonania. Obwoływanie autora „świętym męczennikiem zbrodni” mnie po prostu śmie szczyło. Pokusa teatralnej symultany nie tylko w budowaniu akcji, na planie czasu i w przestrzeni, ale nawet przez wnie sienie jej do scenicznego postaci jest i będzie zawsze kusząca — na tej technice oparte są „Pokojuki”. Claire i Solange są na przemian sobą i swoją panią. Wyzwalają z siebie tkwią ce immanentnie w człowieku zło — zło samego Geneta, dodajmy od siebie — które nawet swoją obecnością realizu ją: już zademonstrowały panu, już chcą zgładzić panią. Takie są pokojuki, dziewczyny z podwórza, wprowadzone do salonu przez panią, której chcą się „odwdzięczyć” zabójstwem. Zupełnie jak Genet. Przybrany rodzicom, który go wyhołubił, zrewanżował się zło dzieństwem. Patrząc na rzecz teatralnie i tylko z tego punktu widzenia, są w

„Pokojukach” dwie trudne do zagra nia role dla kobiet. Kuszą one nasze da my teatru i je obalają. Jest w nich jednak materiał do budowania postaci. W gorzowskim przedstawieniu doskona łą z tego materiału skorzystał Michał Pawlicki, który reżyserując przed stawienie umiejętnie poprowadził obie pokojuki: Claire — Agata Witkowska, Solange — Dorota Wierzbicka. Panie te zagrały „Pokojuki” soczyście, jakby to były dziewczyny jeszcze nie w pełni dofrizowane do salonu, jakby każdym szwem wyłaziły z nich nie zgazzone je szcze układnością salonu podworkowo-gminne skłonności.

Dobrze wykonany rolami zaznaczy ło się też przedstawienie krakowskie: cała czwórka: (Iwona Bielska — Mar ta, Anna Tomaszewska — Zabcia, Mi kołaj Grabowski — George, Andrzej Grabowski — Nick) zagrała ze scenicz nym nerwem. Widownia na ich grę (chyba i tekst) reagowała żywiołowo. Przynać jednak trzeba, że tego rodza ju utworu, jaki napisał Albee łatwo się realizuje: duże tempo akcji, wartość dialogów, zmienność sytuacji, a więc to, co teatr z pograni cza rozrywki lubi. Natomiast w środku owego opakowania nasza swojska dół szczyzna podana po amerykańsku. O utworach z przewagą wątków sensacyj nych mówi się często z przekąsem, że „tam trup ścilił się gestu” lub, że „trup ożywał scenę”. Natomiast w tym tekście „kurwy” i „chuje” latały jak pierze. Nie tak dawno jeszcze, gdy widow nie teatralna zapelniała bardziej elean ganka publiczność nie byłoby do po myslenia wypowiedzianie takich wyra zów. Teraz czas się zdemokratyzowa ły, plebejskość płyna weszła na scenę i wywała do nas swój jeż. Okazuje się, że słowo „dupa” jest też dobre do rozmieszania ludzi. Można tutaj powtórzyć za Wajdą tytuł jego filmu „Wszystko na sprzedaż”. Do sprzedania jest to, co się sprzedaje, co ludzie chcą kupić. Sprzedajemy więc im stado kurów na teatralną przechadzkę.

Bywają realizacje teatralne tak zle, że nawet zło o nich nie można napisać. Zdanie to dotyczy „Morfiny” według Bułhakowa, którą zaprezentował teatr z Ochoty. I na zakończenie zawsze gorzowskie mu widzowi miły teatr „Wybrzeże” z Gdańska. W tym roku „Wybrzeże” przy wiozło nam „Portret” Mroźka w reżyserii Marka Okopińskiego. Stary mistrz Marek Okopiński mocno tekst Mroźka posztatkował, skrócił go o ponad połowę. Całą rzecz sprowadził do współgrania (dobrego) Bartodzieja i Anatola, Henry ka Bisty i Krzysztofa Gordona. Jednak to co zostało, ma swoją wymowę, a zwłaszcza akt drugi (trzeci) prawie wcale nie ma, jest jego kikut, w który najwazniejsze to, że portret jest nie na scenie, a mieści się na widowni. Ona chce, czy nie chce, mówi sposobami człowieka z portretu, reaguje jego słowami nawet wtedy, gdy odnosi się do nich krytycznie. Dość ciekawe spojrzenie na sprawę stalinowskiej dyktatu ry. O ile ona nas paraliżowała, a o ile byliśmy jej współudziałowcami? Jakim udziałowcem był Bartodziej, od pierw szej do ostatniej sceny deklaratywny rezoner, a jakim jest Anatol przepoczw arzona w nowobogackiego ofiara, która na naszych oczach z sumienia przekształ ca się w konsumenta wdzięków Ana bell, apartamentu i barku z obfitą flo ścią wódek. Portretowanego nie ma, ale jego portret jest w nas — zdaje się sponować przedstawienie. A z nim zaczynamy spokojne bytowanie socjali sty cznego mieszczaucha, któremu pilkarze w piłkę grają, telewizory hity nadają, politycy swobody ogłaszają, ptaki za ok nem trele wypiewują, pies szczeka, kot miauczy — tak toczy się świat.

I tym trzeba będzie skończyć omówie nie gorzowskich spotkań teatralnych, które też są częścią naszej konsumpcji w dniach rozrachunku z dyktatorem za pomocą portretu, jaki w nas pozostał: nawet stał się modny, nawet modzie uległ taki dramaturg jak Mrozek. Bo wiem teatr kroczy zawsze w parze z modą. Dziś moda jest na erotykę, na zło, na narkotyki i narkomanów, na porachunek z dyktaturą. Tym teatr jest zakatarzony, tym dzisiaj kicha.

Homo czy hetero

Narzeczony mojego męża

— Na środku pokoju stała szeroka skrzynia z pokojowymi roślinami. Przez uchylone drzwi popatrzyłam w mrok. Wydawało mi się, że nie ma tu nikogo. Ale nagle usłyszałam coś, jakby ciężki oddech czy stęknienie i postąpiłam dwa kroki do przodu. Za skrzynią coś poru szło się gwałtownie. Powiedziałam „Witek!” i w odpowiedzi usłyszałam zmieniony głos męża „Wyjdź stąd!”

— Czy podejrzewała Pani, z kim prze bywa mąż w tym pokoju?

— Tak, podejrzewałam, że zdradza mnie z jedną dziewczyną, która wyraża nie go prowokowała. Gdy tańczyli ze sobą, zdjęła bluzkę. Potem inne dziewczyny też podejmowały bluzki, ale ona zachowywała się bardzo nieprzy zwyczajnie i to się mojemu mężowi podoba ło. Byłam więc pewna, że teraz razem tam leżą. Witek był szalenie pobu dliwy seksualnie.

— Co powiedział potem?

— Ze jestem przewrażliwiona. Ze nie się nie stało. Ze wcale nie był tam z tą dziewczyną, tylko z jednym z kole gów. Chcieli porozmawiać. Szukali kon taktu, by zapalić lampę i przewrócili się. To wszystko.

— Uwierzyła Pani?

— Nie całkiem, ale postanowiłam nie dreczyć go wyrzutami. Byliśmy prze cięć parę tygodni po ślubie. Takich prywatek, jak tamta, miało być jeszcze wiele. Zresztą stosunki między nami u kładały się nieźle. Witek był czuły, tro skliwy, chciał, abym była zawsze do brze ubrana. To pozostało mu do dziś. Lubiał przeglądać moje rzeczy i sam wy bierał te, w które mam się ubrać. To mi się w nim podobało.

— A pożycie seksualne?

— Też wydawało się prawidłowe, choć czasem bywał zbyt gwałtowny. Któregoś razu zażądał, abymy odbyli stosunek w sposób... nienaturalny. Nie protestowałam. Węć odbyło się to... Dla mnie było bardzo bolesne, on zachowywał się jak szalony. Był to moment przełomowy.

— Dlaczego?

— No... nie wiem, jak to powiedzieć... Ten szczególny rodzaj stosunku. Przy tym sposobie, w jaki pieścił mnie rękami. Czułam się upokorzona i nieobecna. Na zajutrz nie patrzyliśmy sobie w oczy.

— Kiedy zrozumiała Pani swą sy tuację?

— Właśnie tej nocy przyszło mi na myśl, że przecież mój mąż zachowuje się tak, jakby chciał, abym była chłop cem! Przypomniałam sobie także różne szczegóły, na które wcześniej nie zwraca łem uwagi.

— Jakże szczegóły?

— Spotkania męża z kolegami. Wy jazdy wyłącznie w męskim gronie. Na gie milknięcia jego i kolegów, gdy wcho dziłam. Poza głównym zajęciem mój mąż wykładał w technikum. Dlaczego

po domu wciąż kręcił się jakiś uczeń? Nieustannie chłopcy coś mężowi przy nosili, po coś przychodzili. Jednego ra zu których z nich zanczował Mąż na kłonił go, by chłopiec ten wykapisał się. Sam podał mu ręcznik i ułożył go do snu. Tej nocy mąż wykąsał w łóżku wielkie podniecenie. Skończyłam sobie to wszystko z częstymi odwiedzinami pewnego młodszego kolegi męża. Sta ły mi w oczach jego obcisłe spodnie, je go ruchy i spojrzenia.

— Powiedziała Pani mężowi wprost, o co go podejrzewa?

— Nie wiedziałam, jak to zrobić. Ko chałam go. Byłam w rozpacz. Miałam nadzieję, że wszystko to jakoś przejdzie, jakoś się zmieni. Przez kilka mie sięcy żyłam w takiej szamotaninie. W tym czasie obserwowałam zmiany w za chowaniu męża. Był pewny siebie i cza sem zdawało mi się, że celowo robi mi pewne numery, by popisać się tą swoją odmiennością.

— Mówiła mi Pani, że doszło do stra snej awantury.

— Myślałam wtedy, że go zabiję. Gdy wrzasnęłam „ty cholerny pedale”, po czerniał i zamilkł. Rece mu drżały. Przysłał się. Zaczął mnie prosić, abym nie mówiła rodzicom. W końcu się po płakałam.

— Jednak żyliście dalej razem.

— Bagał: „tylko nie rób afery!” Wstydził się. Mówił, że jakoś to się uło ży „Zrozum mnie” — powtarzał. Sta rałam się zrozumieć. Byłam wtedy w ciąży z Celinką. Na skrobanke za póź no. Wynieśli się nie ma dokąd. Wtajem niczanie we wszystko rodziców nie miało sensu. Więc pozostaliśmy ze sobą. I tak jakoś żyliśmy.

— Jak?

— We trójkę, a po urodzeniu się Ce linki we czwórkę...

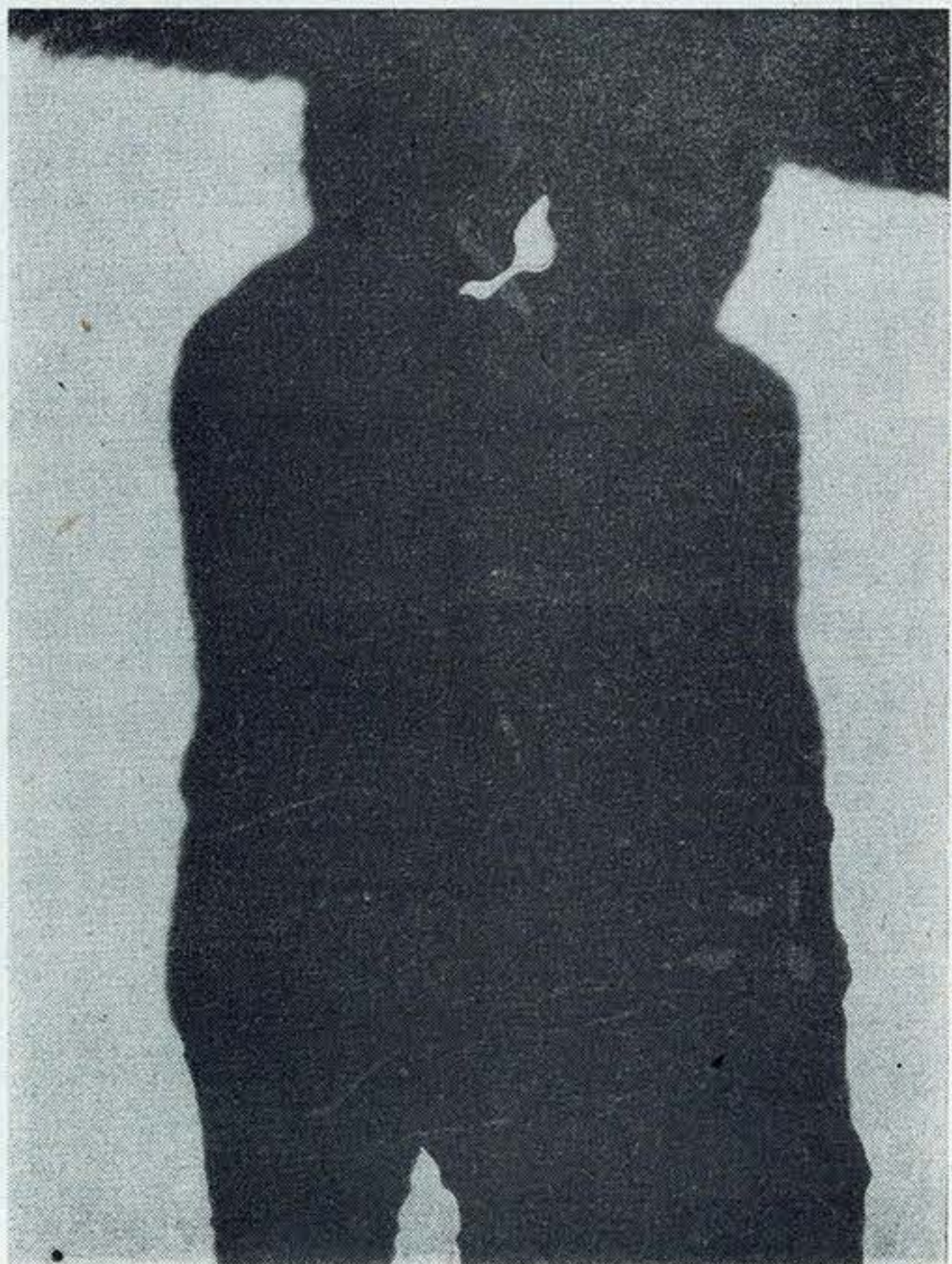
— Kim była trzecia osoba?

— Na imię miał Andrzej. Był uczniem męża. Stałe mu towarzyszył. Jak już mówiłam, kapał się u nas, bo na stan cji nie miał warunków. Mąż zajmował się nim jak dzieckiem. Andrzej, może coś zjesz, Andrzej, czy ci wygodnie, An drzej, włóż sweter, bo się przeziębisz”. Moja sytuacja była okropna i dziś sama nie wiem, jak to przetrzymałam. Byłam taka młoda.

— Czy to, co było między mężem a jego przyjacielem określała Pani wówczas tylko jako sympatie, czy też miała Pani wyraźne dowody zdrady?

— Oczywiście, że miałam dowody! Zdradzał mnie i z tym chłopakiem i z innymi! Kiedy zobaczyłam Witka i An drzeja po raz pierwszy razem w „akcji”, mało nie zemdlałam!

Ciąg dalszy na str. 8



Kiedy nocą wracamy we trzech do domu, często zdarza się, że po pierwszym odruchu zniechęcenia zaczynamy mówić o porządku rzeczy z takim entuzjazmem, na jaki zdobywają się tylko ci, co nie prowadzą aktywnego życia. Nieraz, kiedy wślizguję się do łóżka, uświadamiam sobie z niejakim zdumieniem, że ten cały entuzjazm rodzi się tylko po to, żeby zabić czas, żeby wypełniać te trzy kwadranty, których wymaga przejście z redakcji na Montparnasse. Potrafimy mieć najbardziej błyskotliwe, najtrafniejsze pomysły ulepszenia tego czy tamtego, ale brak nam narzędzi, które by to umożliwiły. I co dziwniejsze, brak jakiegokolwiek powiązania między owymi pomysłami i życiem nie powoduje żadnej udręki, żadnego niepokoju. Tak nas przystosowano, że gdyby jutro kazano nam chodzić na rękach, robilibyśmy to bez najmniejszego protestu. Zakładając, oczywiście, że gazeta wychodziłaby jak zwykle. I że otrzymywalibyśmy regularnie pensje. Poza tym nie się nie liczy. Nic. Upodobiliśmy się do ludzi Wschodu. Stał się nam kulisami, kulisami w białych kołnierzykach, którym zamyka się usta codzienną garstką ryżu. Niedawno czytałem, że specyficzną cechą budowy amerykańskiej czaszki jest obecność dodatkowej kości, tak zwanej os *lance*, w potylicy. Obecność tej kości, dowodził uczony, jest wynikiem przetrwania poprzecznego szwu potylicznego, zwykle zamykającego się w życiu płodowym. Jest to dowód zahamowania rozwoju i wskaźnik niższej rasy. „Przeciętna objętość amerykańskiej czaszki”, ciągnął się wywód, „jest mniejsza niż czaszki typowego białego człowieka, ale większa niż czaszki przedstawicieli rasy czarnej. Biorąc pod uwagę obie pici, współcześni paryżanie mają czaszki o pojemności 1.448 cm³. Murzyni 1.344 cm³, Indianie 1.376 cm³. Z czego nie nie wydedukowałem, ponieważ jestem Amerykaninem, ale nie Indianinem. Ale sprytnie tłumaczy w ten sposób różne rzeczy za pomocą kości, na przykład jakiejś os *lance*. Wcale nie przeczy jego teorii fakt, że pojedyncze okazy czaszek indyjskich osiągnęły niezwykle dużą pojemność 1.920 cm³, a więc wielkość, jakiej nie przekroczyły inne rasy. Muszę odnotować z zadowoleniem, że paryżanie obojga płci wydają się mieć normalną pojemność czaszek. Widocznie u nich ten poprzeczny szew potyliczny nie przetrwał. Umieją się cieszyć swoim aperitifem i nie przejmują się, że mieszkają w nie odmalowanych świeżo domach. W ich czerepach nie ma nie zwykłego, jeśli wierzyć wskaźnikom czaszkowym. Musi być jakieś inne wytłumaczenie tej ich sztuki życia, którą doprowadzili do takiej doskonałości.

U monsieur Paula, w bistro po drugiej stronie ulicy, jest sala od podwórza, zarezerwowana dla dziennikarzy, gdzie możemy jadać na kredyt. Jest to przyjemne, małe pomieszczenie z trocinami na podłodze i pchłami w sezonie i poza nim. Kiedy mówię, że jest zarezerwowane dla dziennikarzy, to nie znaczy, że jadamy tam w swoim gronie; przeciwnie, to znaczy, że mamy przywilej korzystania z towarzyszywa kurew i alfonsów, którzy tworzą podstawową warstwę klienteli monsieur Paula. Taki układ odpowiada doskonale tym facetom z góry, ponieważ ciągle oglądają się za spódniczkami i nawet ci, co mają na stałe jakąś Francuzkę, nie stronią od tego, żeby od czasu do czasu zafundować sobie zmianę. Grunt, żeby czegoś nie zjadać; czasem redakcja wygląda jak ogarnięta epidemia, co może dążyć się wytłumaczyć faktem, że wszyscy sypiają z tą samą kobietą. W każdym razie warto się przyjrzeć, jak żółtnie wyglądają, kiedy muszą siedzieć obok alfonsa, który mimo drobnych uciążliwości tego zawodu, wie, gdzie w porównaniu z nimi ekskluzywnie żyć.

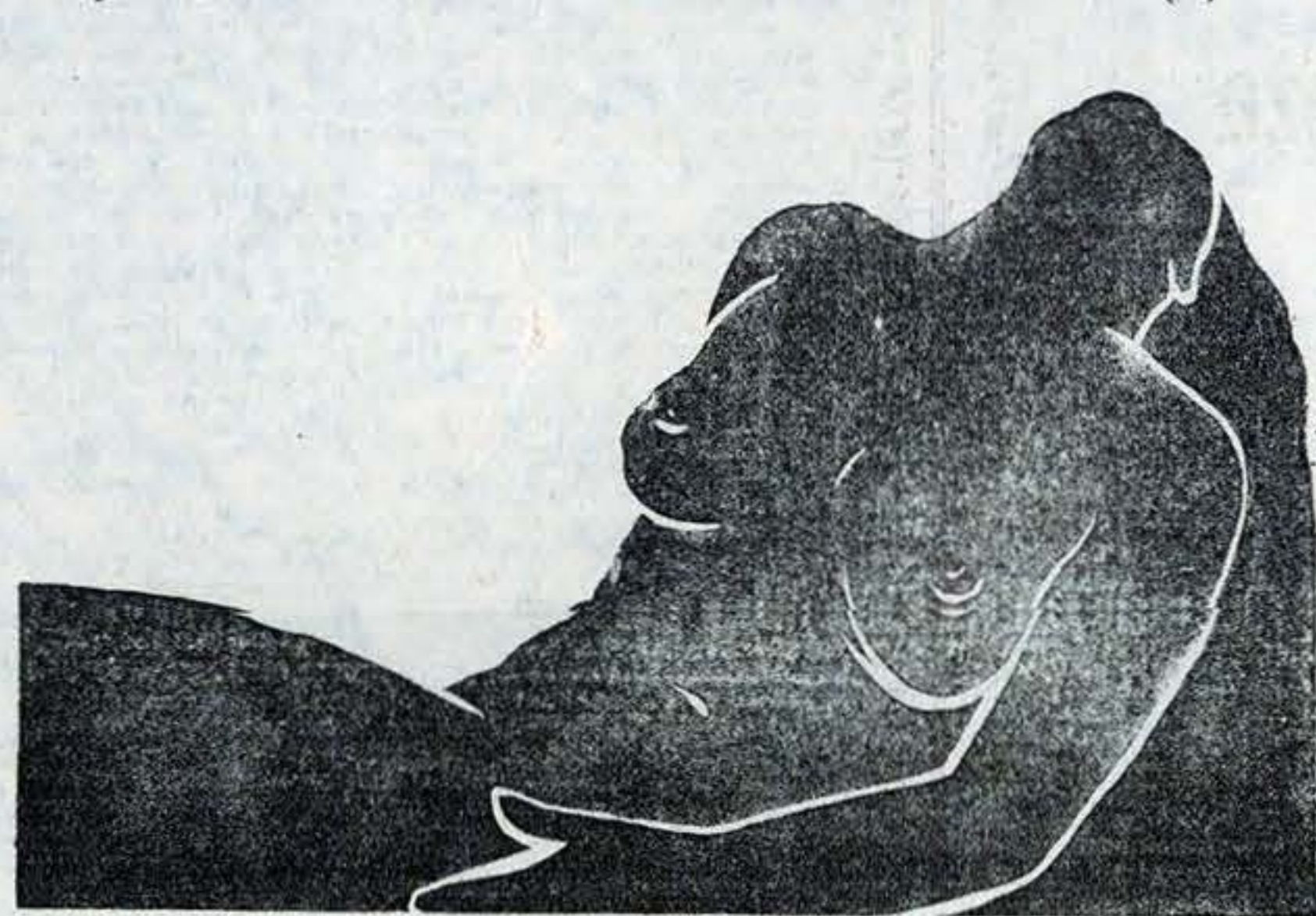
Mam zwłaszcza na myśli pewnego wysokiego blondyna który dostarcza na rowerze depeche Havasa. Zawsze się trochę spóźnia na posiłek, zawsze spoczęty z umorusaną twarzą. Z niezgrabnym wdziękiem wpada do środka, saluuje wszystkim dwoma palcami i wali prosto do zlewu między toaletą a kuchnią. Kiedy wyłetera sobie twarz, rzuca szybkie badawcze spojrzenie na potrawę; jeśli dostrzeże apetyczny stek na fajerce, potrafi go chwycić dwoma palcami i obwąchać albo też zanurzyć chochłę w kociołku i pociągnąć solidny łyk zupy. Zachowuje się jak rasowy ogar, zawsze z nosem przy ziemi. Ceremoniał skończony, zerknąwszy tu i tam, czyści hałaśliwie nos, nonszalancko podchodzi do swojej dziewczyny i daje jej głosem całusa wraz z czułym kłosem po pupie. Ona, ta dziewczyna, zawsze wygląda jak nie-

tknięta — nawet o trzeciej nad ranem, po całonocnej pracy. Zawsze wygląda, jakby dopiero co wyszła z łaźni tureckiej. Sama radość pstrykać na takie zdrowe bydlęta, obserwować ich odpoczynek, ich uczucia, ten ich apetyt. Mówię teraz o wieczornym posiłku, małej przekąsce, którą dziewczyna zjada przed pójściem do pracy. Za chwilę będzie musiała pożegnać to wielkie blond zwierzę i kłapnie gdzieś na bulwarze, sząc swój *digestif*. Nawet jeśli praca jest nuda, trudna do zniesienia albo wyczerpująca, dziewczyna nie daje tego po sobie poznać. Kiedy przybywa jej wielki chłop, głodny jak wilk, zarzuca mu ręce na szyję i żarliwie całuje — w oczy, nos, policzki, włosy, kark... całowała by go w dupę, gdyby to można robić publicznie. Jest mu wdzięczna, to widać. Nie jest płatną niewolnicą. Przez całą kolację śmieje się nerwowo. Można by pomyśleć, że nie ma na tym świecie żadnych trosk. A od czasu do czasu, przy okazji pieszczot, wymierza mu głosem policzek z siłą, która mogłaby korektorowi przełazić kregosłup.

ZWROTNIK RAKA

Henry Miller

(8)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Nie ich chyba nie obchodzi poza nimi samymi i jedzeniem, które zmiatają z talerzy. Co za doskonale zadowolenie, co za harmonia, co za porozumienie bez słów, Van Norden aż odchodzi od zmysłów, kiedy na nich patrzy. Złaziłszy wtedy, gdy ona wsuwa rękę w rozpięty swego olbrzyma i go pieści, na co on zazwyczaj odpowiada chwytaniem jej za cycek i żartobliwym wykręcaniem sutka.

Jest także inne stadło, które przybywa zwykle o tej samej porze i zachowuje się po prostu jak małżeństwo. Kłóci się, piorą publicznie swoje brudy, a kiedy sytuacja staje się już nieznosna zarówno dla postronnych, jak i dla nich samych, po groźbach, przekleństwach, wyrzuciach i pretensjach, wynagradzają sobie karami awanturę gruchaniem i czułością, zupełnie jak para turkawek. Lucienne, bo tak on do niej mówi, jest ciężką platynową blondynką o posępnej, okrutnej fiziozomii. Ma pełną dolną wargę, którą zagryza jadowicie, kiedy opuszcza ją dobry humor. I ma zimne oczy jak perleki, niczym z bladej chińskiej porcelany; on się aż poci, kiedy go nimi świdruje. Ale to dobra dziewczyna, ta Lucienne, mimo swego profilu kondora, który nam demonstruje, kie-

dy zaczyna się kłótnia. W torbie ma zawsze pełno forsy, którą wydziela mu ostrożnie, ale tylko dlatego, żeby nie popierać jego nalogów. On ma słaby charakter; to znaczy, jeśli się bierze tyrały Lucienne na serio. Potrafi wydać pięćdziesiąt franków przez wieczór, czekając, aż ona obsłuży klientów. Kiedy kelnerka przychodzi po zamówienia, on nie ma apetytu. — Ach, znowu nie jesteś głodny! — warczy Lucienne. — Hm! Czekales pewno na mnie na Faubourg Montmartre. Mam nadzieję, że dobrze się bawieś, kiedy ja na ciebie orałam. Mów idioty, gdzie byłeś!

Kiedy się tak zapala, kiedy jest wściekła, on patrzy na nią pokornie, a potem jakby uznał, że milczenie jest najlepszym wyjściem, opu-

Niemniej już po chwili siedzą przytuleni, trzymając się za ręce, i ona szepcze cicho: — Ach, mój mały króliczku, ciężko mi cię teraz zostawiać. No chodź, pocałuj mnie! Co będziesz robił dziś wieczorem? Powiedz mi prawdę, mój malutki... Przepraszam, że mam taki wstrętny charakter. — On całuje ją potulnie, zupełnie jak mały królik z długimi różowymi uszami; składa na jej wargach przelotny pocałunek, tak jakby skubał liść kapusty. A jednocześnie jej okragłe bystre oczy spoczywają pieszczotliwie na jej torebce, która leży otwarta obok niej na ławce. Czeki na odpowiedni moment, aby jej z wdziękiem umknąć; korci go, żeby sobie pójść, zasiać w jakimś cichej kawiarence na Rue du Faubourg Montmartre.

Znam go, tego niewinnego diabełka o okragłych przerażonych oczach królika. I dobrze wiem, jaka to diabelska ulica ta Faubourg Montmartre, z jej mosiężnymi tabliczkami na drzwiach i wyrobami gumowymi, ze światłami migającymi przez całą noc i seksem płynącym przez ulicę jak ścieki. Spacer z Rue Lafayette na bulwar to jak przedpędzenie pod różgami; ciebie się ciebie jak pijawki, wżerają jak mrówki, zaczepiają, pochlebiają, przyniają się, zębują, zagadują po niemiecku, angielsku, hiszpańsku, pokazują ci swoje zdarte serca i wykoślawione buty, i jeszcze długo potem, kiedy już wyrwiesz się z ich macek, kiedy ten zgiełk i harmider ucichnie, aromat lawo i ognia do dwóch nozdrzy — to Parfum de Danse, których zapach utrzymuje się najwyżej na odległość dwudziestu centymetrów. Można przegrać całe życie na tym krótkim odcinku między bulwarem a Rue Lafayette. Bary tętnią życiem, pulsują, grzechoczą kości do gry, kasjerzy tkwią jak sepy na swoich wysokich stołkach, a pieniądze, którymi obracają, mają ludzki smród. Banque de France nie posiada właściwie ekwiwalentu tej krwawicy, którą tu się puszcza w obiegi, pieniądze błyszczących od ludzkiego potu, które przechodzą z rąk do rąk jak pożar lasu zostawiając po sobie dym i swąd. Człowiek, który potrafi iść nocą przez Faubourg Montmartre nie pocąc się i nie dysząc, bez modlitwy albo przekleństw na wargach, taki człowiek chyba nie ma jaj, a jeśli je ma, powinien zostać wykastrowany.

Przyjmijmy, że potulny mały królik wydał pięćdziesiąt franków, kiedy wieczorem czekał na swoją Lucienne. Przyjmijmy, że ogarnął go głód i zafundował sobie kanapkę i kufelka piwa albo przystanął, aby pogadać z dziewczyną, należąca do kogoś innego. Czy myślicie, że powinien się tym zamartwiać całymi dniami? Uważacie, że powinno mu to ciążyć, gnębić go, zatruwać mu życie? Nie sądzicie chyba, że alfons nie jest człowiekiem? Alfons także ma swoje prywatne smutki i zmartwienia, proszę o tym nie zapominać. Może nie marzy o niczym innym, jak tylko o tym, żeby stać noc w noc na rogu z parą białych piesków i przyglądać się, jak baraszkują. Może wolałby po otwarciu drzwi zobaczyć ją czytającą „Paris-Soir”, z oczami lekko ościągniętymi od senności. Może to wcale nie jest takie cudowne, kiedy pochyla się nad swoją Lucienne i czuje oddech innego mięsa. Może lepiej byłoby mieć tylko trzy franki w kieszeni i parę białych piesków baraszkujących na rogu, niż smakować te sponiewierane wargi. Ale przysięgam, kiedy ona przytula go mocno, kiedy błąga o tę odrobinę miłości, którą tylko on może jej dać, przysięgam, wtedy zaszuwa jak sto diabłów, aby zerwać ten regiment, który przemaszerał między jej nogami. Może kiedy ja bierzę i świeży nowy ton, może to wcale nie namietność i ciekawość, może to walka w ciemności, walka w pojedynkę przeciwko armii, która wylała bra my, która po niej przeszła, zdeptała i zostawiła z tak nienasyconym głodem, że sam Rudolf Valentino nie zdołałby go zaspokoić.

(Fragmenty prozy Henry Millera, w przekładzie Zofii i Lucjana Porębskich, przytaczamy za miesięcznikiem „Literatura na świecie” nr 5-8 z 1987 r.)

(CDN)

STARY RYSEL STRASZY W PRZYTOKU

Jerzy Piotr Majchrzak

16 października 1813 roku rozpoczęła się jedna z najkrwawszych i decydujących bitew kampanii napoleońskiej — bitwa pod Lipskiem. Przeciwno zjednoczonym siłom austriacko-prusko-rosyjskim w liczbie blisko 300 tys. żołnierzy pod feldmarszałkiem Schwarzenbergiem, Napoleon wystawił 190-tysięczną armię, w skład której wchodził korpus polski dowodzony przez księcia Józefa Poniatowskiego. 18 października bitwa osiągnęła swoje apogeum i wsiły stko wskazywało na to, że dla Francuzów jest ona przegrana. Następnego dnia zdziśnialkowane oddziały francuskie rozpoczęły beznadziejny odwrót. Jedyną jeszcze nie zablokowaną drogą na zachód, przez kamienny most na rzece Elster.

Mostu pilnował niewielki oddział francuskich saperów pod dowództwem kaprala-minera Lafontaine'a. Kapral otrzymał rozkaz natychmiastowego wycofania się, gdyby w pobliżu jego wschodniego podejścia pojawił się jakikolwiek nieprzyjacielski podjazd. 19 października, około południa, zauważono na wschodnim brzegu konny patrol kozaków, a w niedługim czasie potem szpic oddziałów korpusu Sackena. Nie bacząc na przechodzących przez most żołnierzy, Lafontaine podpałił konty i po kilku sekundach potężna eksplozja zmioła całkowicie most, grzebiąc w je-

go kamiennych gruzach setki Francuzów. Wśród tłoczących się na wschodnim brzegu rzeki oddziałów francuskich wybuchła nie do opisania panika. Dla blisko 20 tysięcy niedobitków napoleońskiej armii jedyną drogą odwrotu została odcięta. Mimo wyjątkowo wysokiego stanu wody tysiące ludzi rzuciło się do rzeki, pragnąc za wszelką cenę przedostać się na drugą stronę. Setki z nich utonęło w spienionych nurtach Elstery.

Ariergarda wycofujących się oddziałów rozbitej armii dowodził książe Józef Poniatowski, mianowany w przededniu bitwy przez Napoleona marszałkiem Francji. W skład tego oddziału, obok oddziałów polskich, wchodziła także saska brygada artylerii, dowodzona przez brygadiera Fryderyka Konstantego Ryssela. Zadaniem brygady było osłanianie siłą ognia swoich 19 dział przeprawę na Elsterze, powstrzymać napór nieprzyjaciela, opóźnić mu podejście do mostu, a następnie wycofać się na zachodni brzeg i wysadzić most. Tak brzmiał rozkaz marszałka Poniatowskiego.

Brygada z woli swojego dowódcy rozkazu nie wykonała. Ryssel uznał, że w obliczu totalnego rozkładu armii francuskiej nie ma sensu walczyć dalej po stronie Napoleona i przeszedł wraz z

całą brygadą na stronę zjednoczonych. O tragicznej śmierci księcia-marszałka Poniatowskiego w nurtach Elstery Ryssel dowiedział się dopiero kilka dni później, po wyłowieniu zwłok z rzeki i zidentyfikowaniu ich przez wziętych do niewoli polskich oficerów. Śmierć by tego dowódcy wstrząsnęła nim. W jego świadomości coraz mocniej utrwalało się przekonanie, że łamiąc przysięgę wojskową, nawet z pobudek patriotycznych, popełnił czyn haniebny. Uczucie odpowiedzialności za śmierć marszałka nie opuszczało go do końca życia. Jeszcze przed zajęciem Paryża przez zjednoczonych poprosił o dymisję i osiadł w swojej posiadłości Przytok koło Zielonej Góry.

Minęły dwa lata. Dnia 19 października 1815 roku w kościele parafialnym w Przytoku odbyły się uroczystości żałobne ku czci dwa dni wcześniej zmarłego 51-letniego generała artylerii w stanie spoczynku, pana na Przytoku, Janach i Drogowic — Fryderyka Konstantego Ryssela. Wówczas jeszcze nikt z żałobników nie skojarzył zadziwiającego zbiegu dwóch dat: 19 października 1813 — 19 października 1815 roku. Zbieżność ta nie pozostała bez wpływu na dalszy bieg wypadków. Albowiem w Przytoku zaczęły dziać się rzeczy, które przez kilka lat trwożyły miejscowych do tego stopnia, że na dźwięk nazwiska „Ryssel” bająliwie oglądano się na strony, a miejsce ostatecznego spoczynku pana na Przytoku omijano z daleka.

W tym miejscu opuszczamy obszar historii i wkraczamy na teren zastrzeżony wyłącznie dla tych, którzy nie wątpią w prawdziwość dziwnych wypadków, które, według parafialnej kro-

niki, miały miejsce w Przytoku każdego roku i to właśnie 19 października. Jest to zapis niesamowity a jakże pouczający:

„Ci co na własne oczy widzieli, a widzieli to najstarsi parafianie, opowiadali tak: „na świętego Łukasza, krótko przed północą, w grobowcu Ryssela odsławiła się ze zgrzytem ciężka, piaszczysta płyta. W otworze krypty pojawił się stary generał Ryssel, w mundurze saskiego generała, przy szabli i orderach, tak jak go chowano. Nieopodal grobowca czekał jego koń, śnieżnobiały ogier, w pełnym oporządzeniu. Koń i jeździec opuszczali emmentarz w kierunku starego pałacu. Zrywał się wiatr, zaczął padać deszcz. W ciemnych oknach pałacu pojawiały się nagle jasne światła. Ktoś gwałtownie dobija się do kutek w brzoje drzwi. Łomot słychać na całą wieś. Psy strasznie ujadają. Na dzwonnicy rozchustają się dzwony. W tym piekielnym hałasie słychać wyraźnie kanonadę i hasła komendy, odgłosy bitewnego zgiełku. Koń z generałem pędzi nagle w kierunku Koziego Wzgórza. Galopując obok kuzni starego Sybela wysadził most... uśpione palenisko kuźni wybuchło gwałtownym płomieniem. Nagle jeździec pojawia się przed plebaną. Sto! nieruchomo, jakby z kamienia był ukuty. Wszystkie cichnie. Ustaje wiatr i deszcz. Wolno zjawia kieruje się do grobowca. Śnieżnobiały ogier znika. Z obuchym eskotem zamyka się krypta. Wszystko trwa niecałą godzinę. Na kwadrans do pierwszej jest po strachu”.

Niewątpliwie u podstaw narodzin tej dyktirki leżała nieuchybna przeszłość wojenna generała, o której w okolicy przekazywano tu i ówdzie, choć nikt dokładnie nie wiedział, o co właściwie w tej sprawie chodził. Miejscowi powiadali, że „dusza zmarłego generała, obciążona skazą niegodnego czynu na polu bitewnym, spokoju nie ma, błąka się po nocach i skarży”, jak to w kronice ujęto, ale w głowę zachodzono, dlaczego „tak dziwna opowieść o nieboszczyku generale głęboko w Przytoku zapadła” i co wspólnego z tą „niesamowitą historią” ma data 19 października?

Odpowiedzi na te pytania udzieliła wnuczka generała, Jeane Constantia de Hennier, stale mieszkająca we Francji. Otóż podczas jej wizyty w Przytoku w roku 1854 opowiedziano jej „dziwną historię”. Przerazona nie na żarty wnućka zapytała, czy nadal świętej pamięci generał Ryssel straszy we wsi? Nie! Ostatni raz pokazał się w roku 1819. Od tamtej pory nikt go już nie widział. Pani de Hennier z ulgą przyjęła tę wiadomość i zapewniła, że „już nigdy nie będzie straszył, już spoczywa w pokoju”. Miała rację. Od momentu, kiedy marszałek Polski i Francji książę Józef Poniatowski spoczął w królewskiej nekropolii na Wawelu stary generał Ryssel nie pokazał się już więcej. A nastąpiło to w roku 1819.

Tyle kronika parafii w Przytoku. Uroczę, prawda?



Narzeczony mojego męża

Ciąg dalszy ze str. 6

— Gdzie to było?
— W łazience. Obaj byli podpieli. Coś okropnego!
— W ten sposób doszło do waszego rozwodu?
— Nie jesteśmy po rozwodzie. Rozwód nie było i nie będzie. Nigdy się na to nie zgodzę. Teraz jest mi dobrze. Mójemu mężowi udało się. Jest kimś. Ma wielki szmal. Niczego mi przy nim nie brakuje. Jest niebywale hojny. Widzi pani te rzeczy rozrzucone na fotelu? To wszystko dla mnie. Właśnie mi kupił i przysłał przez Arkę. Komplet dzinsowy za 135 tysięcy, sukienkę za 70 tysięcy, kilka bluzek — nawet ich nie liczyłam, koronkowe rajstopy. Mam samochód, drogę kosmetyki, konto dolarowe. Wszystko to dzięki niemu. Musiałabym mieć źle w głowie, chcąc rozwodu.
— Mimo tych dobrodziejstw pracuje pani zarobkowo.
— Tylko z nudów. Żeby pomóc wśród ludzi. I pokazać się. To co zarabiam, nie starcza nawet na opłacenie prywatnego przedszkola, do którego uczęszcza Sebastianek.
— Macie dwoje dzieci?
— Tak. Ciepka skończyła dziesięć lat, Sebastian cztery.
— Więc wychowuje Pani dzieci sama?
— Nie, skądże. Wychowujemy je razem. Mąż oficjalnie mieszka ze mną. Dom, który od paru lat buduje, jest prawie gotowy. Jest tam wykończony jeden pokój i łazienka. Mieszka w nim przyjaciel męża, Arek. Pilnuje budowy, jak pies i tak dobry podwornowy pies jest wierny, uległy i posłuszny. Nawet go lubię. Za jakiś czas przeniosę się do nowego domu z dziećmi, a Arek obejmie to mieszkanie. Już jest zameldowany. Narzeczony mojego męża. Fajne, co?
— Jak układają się sprawy intymne między paniami a mężem?
— Minęło sporo lat. Jestem mądrzejsza. Dawniej szalałam. Jednego razu, gdy weszłam do pokoju i zobaczyłam jak mój Witka siedzi przed telewizorem trzymając rękę chłopaka przy swojej twarzy, tak mnie ruszyło, że chciałam się zabić. Pamiętam szok, jaki przeżyłam, gdy zastałam drzwi od pokoju zamknięte na klucz, a wewnątrz był mój mąż z dwoma chłopakami. Dziś patrzę na to wszystko inaczej. Wpadłam i mówię sobie — trudno. Zdać sobie sprawę, że gdybym przeboleć chciała coś zmienić, nie obeszłoby się bez krzywdy dzieci. Dostosowuję się więc do losu, jaki mi przypadł.
— Czy zdarza się, że śnicie ze sobą?
— Czasem. Co pani taka zgorzgniona?

Są przecież homoseksualiści, którzy mają żony, dzieci i uprawiają miłość na dwie strony. Kochałam Witka i w jakiś sposób kocham go nadal. Spełniam jego życzenia. To mi się opłaca.

— Jakie życzenia?
— Dobrze powiem. Na przykład miłość... we troje, albo we czworo. Razem i na przemian. To bardzo podniecające.
— Często coś takiego urządzaacie?
— A co to, na spowiedzi jestem?
— Brała pani pod uwagę zagrożenie chorobą AIDS?
— Brałam i biorę. W pokoju Arka wisiał plakat ostrzegający przed AIDS i wielki kalendarz. Przywieźli to obaj z mężem z Zachodu. Mówią że wszystko to jeszcze bardziej ich podnieca. Witka ma 35 lat, jest poważny. Myślę, że również poważnie traktuje wszystko, co się mówi i pisze o AIDS.
— Chyba nie jest Pani całkiem szczera. Zdrowej, normalnej kobiecie związanej z homoseksualistą — czy nie brakuje zdrowego, normalnego partnera?

— Jeśli poczuję, że brakuje, to go miewam. A co do szczerości, to rzecz jasna, nie powiedziałam Pani wszystkiego. Są takie rzeczy, o których mówić nie można.

— Ile Pani ma lat?
— Ukończyłam właśnie 31.
— Co Pani myśli o miłości w ogóle?
— Zastrzeżam sobie pani tym pytaniem. Nie wiem, co odpowiedzieć. O jaką miłość chodzi?

— Między mężczyzną a kobietą. Między ludźmi.
— Co ja myślę? Otóż myślę, że miłość polega głównie na seksie. To częsta sprawa poza seks. To przyjaźń i przywiązanie. Wychodząc za Witka, wiedziałam o miłości bardzo niewiele. Dziś posiadam wszystkie tajemnice. Kiedyś byłam zadowolona nawet wtedy, gdy podczas jego szalonych pomysłów odchodziłam. Długo jest inaczej. Prawda, że podporządkowałam się mężowi i chęć, by był zadowolony. Zawsze jest tak, jak on chce. Ale też nie na siłę. Nic, co by bolało, upokarzało, rozumie Pani? Chęć powiedzieć, że nasze małżeńskie życie bardzo się zmieniło. Ale przetrwała przyjaźń, lojalność.

— Mimo wszystko, czy nie chciałaby Pani jakiejś zmiany? Życia normalnego?
— Myślę o tym, niekiedy, ale tak się składa, że moje życie jest rozwinięte zawsze coś miłego, upominek, niespodzianki, uśmiech dzieci.

— Więc jest Pani szczęśliwa?

— Szczęśliwa? A co to znaczy?

ROZMAWIAŁA EWA FOSS

Wakacyjny konkurs „NADODRZA”

„70 LAT ODEODZONEJ POLSKI”

Główna nagroda: 2-osobowe wczasy świąteczno-norwiczne w Karkonoszach ufundowane przez Biuro Podróży „Lubuszanie” w Zielonej Górze.
Pierwszy odcinek konkursu już w następnym numerze.

Czesław Miłosz wspominał w ubiegłym roku w rozmowie, drukowanej w „Tygodniku Powszechnym”, iż jednym z czynników, jakie ukształtowały jego światopogląd, patriotyzm — było pisarstwo Włodzimierza Karsaka: „(...) wczyny pod uwagę, że istniała cała literatura myślowa skoncentrowana na Litwie. Głównym pisarzem w tym zakresie był Włodzimierz Karsak, który pochodził z Witebszczyzny. No, i oczywiście gloryfikował przyrodę tego, co się w szeroko- kim tego słowa znaczeniu nazywa Litwą. (...) te rzeczy oddziaływały bardzo silnie”. I nie tylko Miłosz podlegał tym wpływom. Twórczość Karsaka, głównie przedwojenna, miała licznych zwolenników, propagatorów, wielbicieli. Ceniono nie tylko wiedzę i pasję doskonałego myślowego, erudyty, walory literackie i plastyczne utworów, ale przede wszystkim stosunek autora do przyrody, tak pięknie przekazywany w gawędach, opowieściach. Po wojnie już, na kilka lat przed śmiercią, W. Karsak na pisał: „Przyroda jest dla mnie świątynią, która jako naturalna poezja uszlachetnia człowieka”.

Postać — jak go często nazywano — ostatnio, o polskiego Nemroda, owiana jest legendą. Dlatego wartościowa wydała się kolejna publikacja Biblioteki Literackiej Gorzowskiego Towarzystwa Kultury, przedstawiająca życie i twórczość Włodzimierza Karsaka, po wojnie związanego z Gorzowem Wielkopolskim. Wydawnictwo zawiera pięć szkiców analizujących poszczególne okresy życia, działalności, pracy pisarskiej autora „Roku myśliwego”. Wypowiedzi te poprzedza autobiografia napisana przez Karsaka, zawierająca m.in. imponującą listę nagród, odznaczeń oraz — pouczający — spis książek nie wydanych, listów artykułów, odczytów i audycji radiowych. Dodajmy do tego jeszcze zestaw trzynastu opublikowanych utworów Karsaka, a otrzymamy obraz wysiłku całego życia interesującego człowieka.

Właściwe szkice monograficzne nie są utrzymane na jednakowym poziomie. Na uwagę zasługuje syntetyczne spojrzenie Jerzego Oleksińskiego „Pisarz i myślowy”. Autor przypomina znamienne słowa Karsaka, który niejako przewrotnie „myślowo” wywodził od czasownika „myśleć”: „Jestem samotny, w którymś końcu jest znajomość przyrody oraz tożsamość z naturą, jej obyczajów, wymagań i do dziś wymagają własnego myślenia...”. J. Oleksiński zauważa, iż człowiek coraz pełniej poznaje przyrodę, a coraz mniej ją widzi: „Nasz stosunek do przyrody jest czynny, podczas gdy u Karsaka był zawsze kontemplacyjny”. Autor szkicu analizuje kolejne utwory W. Karsaka z kilku pozycji. Jako dydaktyk wysoko ocenia walory wychowawczo-estetyczne książek, ich treść poznawczą. Nie uprawia krytyki literackiej sensu stricto. Bardziej interesuje się psychologiczną stroną problemu: w jak silnym stopniu etyka myślowego, stosunek do przyrody wpływa na twórczość. Jednocześnie, co jest bardzo urocze — J. Oleksiński ocenia całe życie Karsaka, szczegó-

nie to łowieckie i pisarskie — aktywnie — z pozycji mężczyzny, który też kiedyś marzył o wielkiej przygodzie życia. Bardzo wyraźnie znać podziw dla pisarza, iż dane mu było zmierzyć się z prawdziwym niebezpieczeństwem, silnym przeciwnikiem. Tak jest w przypadku analizy książki „Ku indyjskiej rubeli”, relacji z wyprawy do Azji Środkowej, na polu beletrystycznej, na polu naukowej, po raz pierwszy wydanej w 1923 roku: „O tym świecie dalekim, a jednocześnie bliskim chłopczemu sercu, bo wymarzonemu w snach, mówi Karsak żywo i barwnie. Nawet fragmenty sprzeczające się ani na chwilę nie nudzą czytelnika”.

„Przyroda jak świątynia”

Jerzy Oleksiński bardzo wysoko ocenia wczesną twórczość Włodzimierza Karsaka, swego czasu Wielkiego Łowczego RP, szczególnie ceniąc debiutancki tom „Rok myśliwego” wydany w 1922 roku w Poznaniu. Była to „Rzecz dla myślowych i miłośników przyrody”, podjęciem łączącym fachowe porady z elementami literackimi. „Starłem się przez całe życie, aby być takim, jakimi są łowcy, którzy nie tylko łowią zwierzęta, ale i przyrodę, jak i jej piękno, wreszcie cały świat mego doświadczenia i wiedzy łowieckiej (...)” — wspominał Karsak. Fenomen tej książki polegał na ogromnej liczbie odbiorców — myślowych, fanatyków przyrody, na silniejszym niż dziś poczuciu więzi z naturą. Karsak drukując swój „podręcznik” spełnił poważne zadanie, odpowiadając na potrzeby społeczeństwa, by zaczęła powstawać literatura głęboko, z powagą, na wysokim poziomie merytorycznym ukazująca związki człowieka z otaczającą go florą i fauną.

Powieści przedwojenne pełne polowań, rzeczywiście kontaktu z przyrodą są odbiciem czasu. Nierzadko wtedy spotykano się niedziwiedzia, żubra, jelenia, łosia. Dodajmy, iż swego pierwszego niedziwiedzia upolował Karsak jako siedemnastoletni młodzieniec. J. Oleksiński stwierdza: „Bohaterowie przedwojennych książek kochają te krwawe łowy, rozkoszują się bezpośrednim zetknięciem z przyrodą, ale nie zauważają jej wartości duchowych (...)”. Po drugiej wojnie światowej strata była nie wiele, zastąpiły je wartości poznawcze i estetyczne. Miłosz do przyrody odnosił także zupełnie zwycięstwo, antymuszowski młot w rękach „młodości i wielkiego miśmę Karsaka”. Bezkrwawe łowy? (fotografia, rysunek — M.K.M.) po-

woły mu odkryć całe naturalne piękno roślin i zwierząt, a przez to piękno ukołać nade wszystko człowieka”.

Ostatni polski Nemrod jest bohaterem eseju Leopolda Pac-Pomarnackiego. Autor z estymą wypowiada się na temat sztuki myślowego Karsaka, jego ogromnej wiedzy i silnego przeżywania wrażeń estetycznych. Niemal jak anegdota brzmi opowieść o niedoszłym polowaniu na cietrzewie: „Okolica wprost drżała od zakochanych głosów (tokowików — M.K.M.), ale strzał nie padł aż do końca. Ważnym bodźcem od strzału okazała się możliwość słuchania i patrzenia na zwierzęta”. To skierowanie na piękno Natury potwierdza uwagę Krystyny Kamińskiej: „Piękno jest wszędzie”, dotyczące aspektów wychowawczych twórczości Włodzimierza Karsaka.

Tekst Pac-Pomarnackiego czyta się bodaj z największym zainteresowaniem. Zawiera on esencję tych wartości, dla których ceniony był sam bohater opowieści. Czytamy o żywym myślowym, znającym zwierzę, umiejącym ją ważyć, rozpoznawać legowiska. Karsak umiał na trąbce zrobionej z kory brzożowej wywabić z bagiennych gąszczów ogromnego byka łosia. Szczerem jego kunsztu było naśladowanie wycia wilczy. Umiał również wytopić wilki. Zwierzęta te mają zyczą, jak żadne inne, stawiania nóg w trop. Pac-Pomarnacki wspomina: „Karsak zwracał mi uwagę na to, że gdyby szła tylko jedna sztuka, to w tropie znać by było wyraźne odciski „poduszki” łap, natomiast jest w tekście znacznie więcej. I właśnie one w prosty i niewymuszony sposób odsłaniają nas do pisarstwa Włodzimierza Karsaka”.

Warto przypomnieć, iż za cykl gawęd „Las mi powiedział” ich autor, W. Karsak otrzymał nagrodę „Nadodrza” w 1969 roku. Wojciech Zukrowski, wielki biciel dawnego pisarstwa Karsaka, szczerze gołnie „Na tropie przyrody”, również wysoce ocenił ostatnią książkę: „Włodzimierz Karsak oddał strzelbę, poluje z aparatem fotograficznym. To są trudniejsze łowy. I upolowana zwierzęta zostają zawsze w albumie (...). Tuż koło nas kryje się tyle tajemnic, godnych poznania, podchwytywania, uchem, okiem; ogromna, oczyszczająca radość, jak rozumie obcowanie z lasem, znajomość ze zwierzętami i ptactwem”.

MALGORZATA
KOWALSKA-MASŁOWSKA

„Od Anioła do Gorzowa. Z życia i twórczości Włodzimierza Karsaka”. Redaktor tomu: Janusz Koniusz. Biblioteka Literacka Gorzowskiego Towarzystwa Kultury. Gorzów Wlkp. 1987. Cena zł 300.



Ironia i zwyczajność życia

Podstawowy problem tej poezji, jej „ja” lirycznego, zawiera się w próbie zachowania wewnętrznej niezależności od mechanizmów moralnej deprawacji. Muszer kreuje postawę trudniejszą do przyjęcia, ale zarazem — to ważne — nie kałającą go. Dlatego wiele jest w jego wierszach marzenia o zamieszkaniu „w pięknym pokoju”, ale i niezgody na szwindel, na półście na kompromis. Muszer dba o zachowanie ostrości moralnej w opisie świata, wie, że prawda pełniej odsłania się, gdy nie zdecydujemy się na łatwinę. Dlatego wchodzi do jego wierszy narkomani, przypadkowo spotkani ludzie, staruszkowie, z którymi szczerze można pogadać, są jakieś odruchy czystego liryzmu, ale i sytuacje rodzące zdecydowane zastrzeżenia, poczucie dwuznaczności spełniania roli „na poligonie”. Często też obnaża poeta swą bezradność sądenia czy nawet brak postawy. Woli jednak czasami nie wiedzieć niż popisać się tonem moralizatorskiego pouczenia. Upewnia nas, że nie ma patentu na mądrość, że wchodzi w różne sytuacje, żyje, dba o element poetyckiej wiarygodności. Nauczył się wiele od Bursy, Stachury i innych, próbujących iść własną drogą. Udowadnia, że jomość wielu tropów poetyckich, choćby i haiku. Wszystko to jest bardzo cenne. I świadczy o dążeniu do własnej świadomości.

Nie zamierzam jednak nikomu wma- wiać, że są to już wiersze dojrzałego, ukształtowanego poety. Nie z tych rzeczy. Przede wszystkim Muszer nie zawsze panuje nad konstrukcjami stylistycznymi a niekiedy można zastanawiać się nad poprawnością ich użycia. Nierzad-

ko jego głos staje się bardzo sentymentalny a wierszowi jakby brak głębszego uzasadnienia, gdy autor decyduje się na rozwinięcie jakiegos pomysłu retorycznego („Pozdrow ode mnie finlandię”), który poza zarysowaniem gestu poetyckiego niczego istotnego nie wnosi. Po prostu często Muszer zadowala się nietypowością sformułowania, zamanifestowaniem własnej odrębności, nie winując swojej wypowiedzi na wyższy poziom. Może jest to jakiś rodzaj strategii i efekt konsekwentnego dążenia do zwyczajności?

W jednym jest na pewno Muszer konsekwentny. Jest w swoim zamierzeniu przeciwny wszelkim stereotypom. Chce myśleć o zjawiskach na nowo. Bez presji tego, co ustala tradycja, historia, przyzwyczajenie społeczne. Dlatego o Syzyfie powie: „namolny facet”, gdyż niczego, mimo tylu nieudanych prób, nauczyć się on nie może. Nie potrafi się zbuntować przeciw wyrokowi bogów. To Muszera irtuje. Mit o Syzyfie, Kainie, Guliwerze — wszelki mit — poeta powinien poddać weryfikacji, na nowo sprawdzić jego sens. Ale ludzkie „zapominają o kamieniu”. Podobny problem rozważa w wierszu „Nad skałą wisiało drzewo”. Tu demaskuje siłę rytualizacji zachowań, łatwo poddających się manipulacji. Muszer zdaje się mówić, że uświadczenie prawd może być również zgubne. Zgubne, ponieważ uniemożliwia dostrzeżenia, iż w jakichś momentach — mówiąc metaforycznie — jesteśmy „bez otwartej nad sobą czaszy spadochronu”. Chodzi też o to, aby uświadomić egzystencję od przymusu „Kochania rodziców, szkoły, ojczyzny, brata, siostrzy, zwierząt, przyro-

dy”, bo owe „musi” technicznie zawsze nieautentycznością.

Trzeba przyznać, że Dariusz Muszer jest zachłanny w zdobywaniu prawdy. Nie tylko, gdy pisze o różnych prywatnych, społecznych problemach, tych rozpatrywanych teoretycznie i praktycznie doświadczonych, postrzeżonych jak np: iskiarki lez / zapieczonych w suchych ustach / starości”, ale również próbuje przekazać od wewnątrz doświadczenia nie własne. Myślę tu o wierszach o naromanach, którzy „W ten czarny piatek w szpitalu wielkiego miasta” umierają. Obraz jest wstrząsający. Czy można jednak — rodzi się moja wątpliwość — zgodzić się z konkluzją: „i już nie muszą brać”. Czy nie jest to zbyt dalekie uproszczenie? Czy to nie brzmi jednak nadbyt cynicznie. W innym wierszu mówiącym o tym, iż „W naszym bloku powiesił się chłopak” także dochodzi do uproszczenia nieszczerze. Czy rzeczywiście dla rodzica jest problemem, że będzie „spłacał pożyczkę zaciągniętą w ciągu dzieciństwa nie sięgą” na pogrzeb? A już zupełnie nie mogę zaakceptować użycia formy liryki roli w „Nie bój się to tylko chwila”. Bohater tego wiersza jawi się wyraźnie dwuznacznie.

Może czytając tę recenzję zapytają, czy aby nie drwie? Ujawniłem tyle wątpliwości, tyle zastrzeżeń a jednocześnie twierdząc, że tomik Dariusza Muszera (można żartować — klasyczny to już poeta, który drukuje wiersze „młodzieńcze”) ma wartość. Oczywiście, że ma wartość, bo jest to tomik, który na prawdę zajmuje się życiem. Z tymi wierszami można dyskutować, rozstrzygać, dochodzić do jakichś ogólniejszych wniosków. Dużo w nim ironii, bezsilności, dużo wiedzy, że już nie wielkiego, o czym można byłoby patetycznie powiedzieć, nas nie spotka. To wyzbycie się złudzeń najbardziej zbliża do wierszy Dariusza Muszera.

CZESŁAW SOBKOWIAK

Dariusz Muszer: Zatrzymane wiersze. Biblioteka Literacka GTK. Wyd. Gorzowskie Towarzystwo Kultury. Gorzów 1987 r. s. 32.

WIDEOKLUB

Pola śmierci

Polskim kinomanom dobrze jest znać film Rolanda Joffe'a „Misja”. Ten wspaniały, barwny obraz o misji jezuitów w południowej Ameryce został wysoko oceniony przez kinologów („Srebrna Palma” w Cannes), jak i przez przeciętnych zjadaczy chleba. Tym, którzy jeszcze filmu nie widzieli, gorąco go polecam. Sądzę, że bez względu na oczekiwania, nikt się na tym dziele nie zawiedzie.

„Misja” jest drugim filmem angielskiego reżysera, który przebojem wszedł do współczesnego kina. Joffe posiada wspaniałą receptę na dobre kino: łączy on w swoich filmach intelektualizm z widowiskowością. Recepta jest stosunkowo prosta, ale sporządzenie takiej mikstury wymaga mistrza. „Pola śmierci” to pierwszy w kolejności

film Joffe'a, niestety nasi specjaliści od zakupów ponownie boją się nie wiadomo czego, woleli dmuchać na zimne i filmu nie zakupili. Może przetrząsali sceny ze zdejmowaniem ze ścian portretu Brezniewa? Zdaje się, że specjaliści od zakupów znowu nie są na bieżąco ze współczesnością. Film ukazuje jeden z najtragiczniejszych rozdziałów historii współczesnego świata — rewolucję Czerwonych Khmerów w Kambodży.

Wykształcony na paryskiej Sorbonie doktor socjologii Pol Pot, w zaciszu biblioteki i gwarze paryskich kawiarni wykonał plan idealnej rewolucji permanentnej, którego to dzieła podjął się osobiście. Rewolucja permanentna zwała się wszelki indywidualizm, intelektualizm, a nawet buty, które umożliwiała bezbolesne przemieszczanie się po kraju. Ludzie żyli w komunach spędzając dzień na wyniszczającej pracy, a wieczorami poddawani byli zbiorowej indoktrynacji. W „Polach śmierci” jest scena, gdy prowadzący „zalecia” nakazuje zgłosić się tym, którzy mieli lub mają „nieprawomyślnie myśli”. O dziwo, osoby takie zgłaszają się i natychmiast zostają zamordowane. Film opowiada też o wspaniałej mę-

kiej przyjaźni amerykańskiego dziennikarza i jego kambodżańskiego przewodnika. To z relacji podawanej w formie listów-monologów do amerykańskiego przyjaciela dowiadujemy się o kambodżańskim piekle. Na początku rewolucji i piosenki ewakuacji wszystkich obywateli, pracownik francuskiej ambasady określa lapidarnie całą sytuację i jej konsekwencje: „ancien regime”, słowa te okazują się prorocze. Za najistotniejsze przesłanie filmu uważam podkreślenie odpowiedzialności nas wszystkich za wszystko co się na tym świecie dzieje. Głęboki humanitaryzm filmu i apoteoza najważniejszych ludzkich wartości, sprawił, że film podbił widownię kin na całym świecie. Szkoda tylko, że nie miał takiej szansy w Polsce.

Tygodnik „Ekran” ogłosił w jednym z numerów pierwszą w Polsce listę wideohitów. Pierwsze miejsce na tej liście zajmuje „Commando” z Arnaudem Schwarzeneggerem, o którym już pisaliśmy. Również wysoka pozycję zajmują „Pola śmierci”.

FAN

Festiwal Piosenki

Radzieckiej

Odbił się w Zielonej Górze po raz dwudziesty czwarty i trwał od 5 do 10 czerwca, przy zmiennej pogodzie. Nie zawiodła festiwalowa, w większości młoda publiczność, natomiast zawiodła ją oczekiwanie. Piszę o tym wewnątrz numeru. W tym roku najwyższe festiwalowe laury zdobyli: Złoty Samowar — nagrodę przewodniczącego ZG TPPR — Katarzyna Ulicka z Koszalina, Srebrne Samowary — Mieczysław Wądołowski z woj. olsztyńskiego i Elżbieta Korkus z woj. wrocławskiego. Brązowe Samowary — Jarosław Witaszczyk z woj. ciechanowskiego, Joanna Jermolowicz z woj. śląskiego i Justyna Banaszk z woj. katowickiego. Wyróżnienia otrzymali: Wioletta Mikulska, Alina Jamroz, Irena Wołoszewicz, Andrzej Korycki, Beata Kostyk, duet Robert i Wojciech Kozieliowie; Zespół „Caro” i zespół „Cameleon”. Dziennikarze akredytowani przy Festiwalu przyznali swoją nagrodę Elżbiecie Korkus. Festiwalowi towarzyszyły tradycyjne już imprezy: międzynarodowy plener malarski pn. „Plener Przyjaźni” w Łagowie (pokłosie ubiegłorocznego pleneru prezentowane jest aktualnie w zielonogórskim salonie BWA) i „Dni Literatury Radzieckiej” (omówienie także wewnątrz numeru). Z tej ostatniej okazji nakładem Lubuskiego Towarzystwa Kultury i Wyszczególnienia Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze ukazał się tomik poetycki, pierwszy z planowanej serii „Literackie Przyjaźni”. W starannie wydanym tomiku zaprezentowano wiersze poetów radzieckich i polskich (mieszkańców woj. zielonogórskiego) dotychczasowych uczestników „Dni”.

Dni Kostrzyna

Święto Prasy

Organizowane już po raz drugi „Dni Kostrzyna”, święto miasta u zbiegu Warty i Odry, które zwane było kiedyś polską Hiroszimą a dziś słusznie szczyty się swymi osiągnięciami — w tym roku były także świętem lubuskiej prasy — „Gazety Lubuskiej”, „Ziemi Gorzowskiej” i „Nadodrza”. Wszystko przebiegało w atmosferze ludowego festynu — imprezy kulturalne, sportowe, spotkania z kandydatami na radnych i z dziennikarzami trzech bratnich redakcji. Była okazja do dobrej zabawy, ale także do gospodarskiej refleksji, jak najlepiej wykorzystać zgromadzoną tutaj energię społeczną, dzięki której udało się to miasto odzyskać z ruin i rozwinąć, aby mu i ludziom w nim zamieszkałym jeszcze leżała przyszłość.

Mistrz Gospodarności

Ten tytuł w organizowanym corocznie ogólnopolskim konkursie miast i gmin, za rok ubiegły zdobyły: miasto i gmina Ślubice (woj. gorzowskie) — nagroda 50 mln zł i ciekawie z przyczepą asenizacyjną; tytuł wieśmistrzowski i nagrodę 30 mln zł gmina Siedlec (woj. zielonogórskie). Ponadto w woj. gorzowskim wyróżniono zostały: gmina Bogdaniec — 15 mln zł, gmina Przytoczna — 10 mln zł, miasta i gminy: Recz — 30 mln zł, Choszczno i Międzybóże — 10 mln zł oraz Drezdenko — 9 mln zł. W woj. zielonogórskim wyróżnienia po 10 mln zł uzyskały miasta i gminy: Bałmistrz, Świebodzin i Wolsztyn.

Wojewódzkie Nagrody

Techniczne

W dalszym ciągu, mimo zapowiadanych w rezultacie reformy gospodarczej zmian — nie jest najlepiej z nową torstwem i postępem technicznym w naszym przemyśle. Tylko nieliczne procent całości jego produkcji stanowią nowe wyroby i nowe technologie. Tym bardziej cieszyć muszą wyraży uznania dla tych, którzy usilują przelać tę złą pasję. Ostatnio w Zielonej Górze odbyła się uroczystość wręczenia najbardziej zasłużonym ludziom i przedsiębiorstwom nagród technicznych. Były wśród nich nagrody Naczelnej Organizacji Technicznej, wyróżnienia i dyplomy Wojewódzkiego Klubu Techniki i Racjonalizacji, na grody w Turnieju Młodych Mistrzów Techniki. Wśród nagrodzonych i wyróżnionych przez NOT za produkcyjne innowacje w 1987 r. znalazły się: „Zastal”, zielonogórski „Unitra”, „Kromet”, świebodzińska „Elterma”, POM w Starym Kisielinie, OBR w „Lumelu”. Rejonowe Przedsiębiorstwo Melioracyjne w



Sulechowie, PGR w Krośnie Odrzańskim, nowosolski „Dozamet” i Wolsztynska Fabryka Mebli. Gratulujemy!

Spółka „Femic”

Prof. dr. hab. Marian Eckert w imieniu WSI, mgr inż. Czesław Fedorowicz w imieniu „Zastalu” podpisali akt notarialny o zawiązaniu Przedsiębiorstwa Naukowo-Produkcyjnego „Femic” — spółki z o.o., którego celem jest m.in. wdrażanie najnowszej myśli technicznej do produkcji. W czasie spotkania obu stron ustalono, że prezesem zarządu spółki będzie dr Lechosław Ciupik (WSI) a radę nadzorczą stanowią: doc. Marian Milek, prof. Michał Kisielewicz (WSI) i mgr inż. Janusz Kapala i z-ca dyrektora, mgr Ryszard Obiegór z-ca gł. księgowego, mgr inż. Mieczysław Konwiński z technologicznej „Zastalu”. Nowopowstałej spółce życzymy powodzenia!

Święto dąbrowieckiej

szkoły

Blisko 60 lat temu, w czerwcu 1929 r. w znajdującej się w pruskiej niewoli Dąbrowce Wielkopolskiej powstała polska szkoła. Mieściła się w trzech polskich domach — Blochów, Kostyrów i Wieczorków, gdyż Niemcy nie godzili się na budowę budynku szkolnego. Po wybuchu II wojny światowej nauczyciele tej szkoły i współpracujący z nią działacze ZPWN znaleźli się w hitlerowskich obozach. Mogła się ona odrodzić dopiero po wojnie. Myśl budowy nowej szkoły w Dąbrowce Wilk, zrodziła się z inicjatywy działaczy Stowarzyszenia „Wisła-Odra”. W 1983 r. powołano Społeczny Komitet Budowy Szkoły, któremu przewodniczył Tomasz Spychała. Działalność, którą buduje wolsztynskie KPRB już jest w stanie surowym. Od trzech lat w czerwcu obchodzą się też święto miejscowej szkoły pod znaku Rodła. W tym roku na uroczystości z tej okazji obecni byli w Dąbrowce m.in. poseł Edmund Męclewski, przewodniczący Stowarzyszenia „Wisła-Odra”, wojewoda zielonogórski Zbyszek Piwoński i sekretarz KW PZPR Józef Malańczuk. Dwoje zasłużonych działaczy byłego ZPWN — Agnieszka Mania i Piotr Polomka na uroczystym apelu otrzymały Medale Rodła, zaś poseł Edmund Męclewski udekorowany został odznaką honorową „Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego”.

Uhonorowani laureaci

Dziennikarze zielonogórskiej rozgłośni radiowej zostali laureatami ogólnopolskiego konkursu na reportaż radiowy pn. „Porozumienie”. Irena Linkiewicz i Krzysztof Rutkowski i nagroda, Idalia Błaszczak III nagroda. Z tej okazji wojewoda zielonogórski Zbyszek Piwoński przyjął ich i pogratulował sukcesów, życząc dalszych twórczych osiągnięć. Do gratulacji i życzeń przyłączamy się także my.

Zaprosili nas

BWA w Zielonej Górze na otwarcie wystawy poplenerowej „Łagów 87”, Zarząd Okręgu ZNP w Zielonej Górze na Okręgową Konferencję Delegatów ZNP, redakcja „Tygodnika Demokratycznego” na spotkanie z okazji XXXV-lecia pisma Zarząd Wojewódzki ZSMP w Zielonej Górze na Święto Młodości Rudno 88 i Wojewódzki Parlament Młodzieży. Dziękujemy



„Wskoczyć do właściwej bramy”

Kilka słów w związku z artykułem Piotra Piotrowskiego „Wskoczyć do właściwej bramy” (Nadodrza nr 10). Po pierwsze autor „Rozmów z katem” nie nazywał się Moczulski a Moczarski. Po nie błąd korektorski, ale istotna pomyłka prowadząca do dość oryginalnych i swobodnych kowarów.

Pragnę zgodzić się z intencjami autora, mówiącymi o swobodzie wyrażania przez literaturę prawd nawet bardzo bolesnych a często dotąd skrywanych pod tzw. „sukno”. Niestety, mimo znacznego postępu, nadal można przytoczyć przykłady, że ciągle jest po staremu.

Dla własnego zdrowia

Dobrze się stało, że Wojewódzki Komitet Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia w Zielonej Górze przedstawił swój piętnastoletni dorobek.

Z obszerne, sprawozdania dowiadujemy się m.in., że ze środków NFOZ zbudowano przychodnię zdrowia w Koźuchowie (14 gabinetów) i w Siedle (6 gabinetów lekarskich). Przy udziale NFOZ wybudowano pawilon szpitalny na 138 łóżek w Nowej Soli. Powstały nowe ośrodki zdrowia w Brodach, Bozowie i Niegosławicach. Przy dużym

Taki los spotkał też, miejmy nadzieję, że tylko na razie, inne dzieło Kazimierza Moczarskiego — krótki, wstrząsający esej — pamiętnik „Po powstaniu”. Rzecz dotyczy losów autora i ludności stolicy po upadku powstania i za wiera również szersze rozważania polityczne. Powstanie warszawskie budziło, budzi i będzie zawsze budzić namętne spory Polaków, przez wiele jeszcze oświecenieli i nie w tym rzecz. Chodzi o to, że bez różnorodności ocen, wniosków, będzie to zawsze dyskusja ograniczona. Chodzi o to, że takie ograniczenie nie to nie tylko sprawa historyków i pasjonatów przeszłości, to sprawa aktualnego kształtu naszej demokracji. To sprawa tak potrzebnej wiarygodności.

Myślę, że teraz, gdy w ZSRR likwiduje się wiele tematów tabu i my powinniśmy śmiało likwidować nasze zaległości w mówieniu różnymi głosami o naszych narodowych sprawach.

Być może zawsze wielki Żeromski doczeka się, że do jego „opera omnia” dołączy się „Na plebanii w Wyszkowie” — krótki reportaż z wojny 1920 r. i bardzo krytyczna ocena postaci Juliana Marchlewskiego. Miał prawo wielki pisarz podziwiać Lenina, miał prawo krytyko-

wać Nawłoc i Odrodzoną Polskę, miał i prawo krytykować Marchlewskiego. Kona i Dzierżyńskiego, robił to w określonym kontekście historycznym i w duchu swego sumienia. Ale my nie mamy prawa wyrzucać takich ocen z jego dorobku, dziełko przez to nie zniknie a swąd pozostanie i jego skutki też. Rozliczanie historii to prawo do mówienia na różny sposób o różnych sprawach, szczególnie w wykonaniu pisarzy.

I tyle krótkich uwag na pewno wiele niepełnych, jakie nasunęły mi się, gdy zauważyłem wspomniany na wstępie błąd.

Z poważaniem

MICHAŁ PRZYDROŻNY
66-023 Sycowice

PS. Tak na marginesie, rol się teraz w prasie od różnych drobnych i dużych błędów faktograficznych i formalnych, ale to temat na dłuższą rozprawę o solidności wiedzy naszych publicystów.

OD REPAKCI: za błędne podanie nazwiska autora „Rozmów z katem”, które wynikało z winy korekty, wszystkich serdecznie przepraszamy.

wspierciu społecznym (wymieśmy dla przykładu patronat sprawowany przez uczniów Zasadniczej Szkoły Budowlanej w Zielonej Górze) powstał Dom Zbawidowa w Zielonej Górze. W minionych latach zakupiono ze środków NFOZ 38 samochodów-saniterek oraz wiele sprzętu medycznego dla istniejących już placówek służby zdrowia i opieki społecznej.

Bardzo długi jest rejestr obiektów zbudowanych całkowicie lub częściowo dzięki funduszom zgromadzonym na NFOZ. Ograniczamy się przeto do stwierdzenia, że w planie na rok bieżący Wojewódzki Komitet NFOZ przewiduje rozpoczęcie budowy większych ośrodków zdrowia w Brzeźnicy i Skąpem, udział w rozbudowie szpitala w Świebodzinie i Lubsku, kontynuację robót przy bloku operacyjno-diagnostycznym w Zielonej Górze oraz roz-

budowę warsztatów ortopedycznych w Świebodzinie.

W uchwale podjętej przez NFOZ czytamy m.in. „Apelujemy do rad narodowych, związków zawodowych i PRON-u o okazanie czynnej pomocy w kontroli działalności inwestycyjnej ze środków NFOZ-u, o zwalczanie marnotrawstwa i pomoc w lepszym zorganizowaniu pracy na placach budowy”.

WK NFOZ z satysfakcją stwierdza, iż rozszerza się krąg instytucji i organizacji czynnie pomagających w propagowaniu i realizacji idei NFOZ. Uważamy, że pole do działania mamy nadal duże, tak jak ogromne są jeszcze potrzeby. To czyni Fundusz instytucją trwałą i bliską każdemu obywatelowi.

Istotnie bilans prac i dokonań NFOZ jest pokaźny. Jego działalność zasługuje na wszechstronne poparcie ze strony społeczeństwa.

W.L.

PRL - NRD

W „Na pocztowym szlaku”, Piotra Zaremby „Wybór listów ze znaczkami 1840-1875” i Józefa Zielińskiego „Polaczenia posłannicze i pocztowe z Toruniem” oraz 37 eksponatów w klasie konkursowej dorosłych i 8 w klasie młodzieżowej obrazujące współczesny dorobek wystawienniczy obu związków filatelistycznych. Sad konkursowy, któremu przewodniczył Włodzisław Goszczyński, znany autor wielu opracowań z za-

kresu filatelistyki i wybitny znawca przedmiotu składał się z trzech sędziów polskich i dwóch niemieckich, wśród których Gołdfrid Neck znany nam dobrze z bilateralnej wystawy PRL-NRD w Zielonej Górze pełnił funkcję z-cy przez wodniczącego jury. Oceny sądu konkursowego były nadzwyczaj krytyczne. Przyznano ogółem dyplomów w randze medali złotych 6, w tym 3 dla wystawców z NRD, dużych połączonych 4 (goście uzyskali 2), połączonych 6 (NRD-3), dużych srebrnych 7 (NRD-3), srebrnych 9 (NRD-7), połączonych 2 (po jednym dla każdej strony) i 1 brązowy tylko dla wystawcy polskiego. Wśród eksponatów młodzieżowych przyznano dyplomy w randze medali połączonych 2, srebrnego 1, połączonych 3 i brązowego 2. Nie sposób omówić wszystkie eksponaty, ale te najlepsze zasługują chociażby na wymienienie. Wśród nich należy szczególnie wysoko ocenić eksponat Władysława Michałowskiego (Szczecin). Znałki pocztowe Szczecina do XIX wieku i Fritza Steinwassera (NRD). „Działalność poczty berlińskiej 1871-1900” a wśród młodzieżowych eksponatów: „Bydgoszcz” (Jarosław Gaura — Bydgoszcz) i „Z wiatrem przez morze” (Chris Bismark). Obok dyplomów przyznano wiele nagród rzeczowych ufundowanych głównie przez oba związki filatelistyczne jak i licznych sympatyków filatelistycznego ruchu na Pomorzu Zachodnim.

Organizatorzy należycie zadbałi o oprawę propagandową wystawy. Wydano katalog, wybito specjalny medal pamiątkowy, wydrukowano w trzech kolorach koperty okolicznościowe, a upi Szczecin i na specjalnym stoisku na wystawie stosował oamiłkowy stempel. Liczne relacje prasowe, radiowe i telewizyjne dobrze rozprzeczowały wystawę, która cieszyła się znacznym zainteresowaniem zbieraczy i młodzieży.

M. SŁAWOMIR



W reprezentacyjnych salach Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie od 1 do 6 czerwca br. czynna była między narodowa wystawa filatelistyczna „PRL-NRD — SZCZECIN 88”. Na wystawie zgromadzono trzy zbiory w klasie honorowej: Ryszarda Go-



DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 66-067 Zielona Góra, pl. Dunajewo 13, 1 p. oraz adres dla korespondentów: 66-028 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 6. Telefon: redakcja — 103, sekretariat — 208-35, sekretarz redakcji — 19-13, oraz centrala — 46-41 do i przez telefon wewnętrzny — 043225. Redaguje zespół: Halina Abska-Skarbek, Leszek Hiermaniewicz (red. graf. tech.), Janusz Koniusz (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (korektura), Wiesław Nodrzyński (sekretarz).

red., Ryszard Rowiński. Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterów. Sekretariat redakcji: Elżbieta Walenka, Włodzisław RSW. „Prasa Książka Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe ul. Niepodległości 25 65-002 Zielona Góra skrytka pocztowa 61 Centrala telefoniczna 18 61 62 Dyktando Zbigniew Pietkiewicz tel. 113 65 Druk Drukarnia Prasowa ZWP 65 026 Zielona Góra ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmują: „Pismo” Reklam Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie media ogłoszeń RSW. „Prasa Książka Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (teksty i fotografie) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

Z-20

Obu poznałem bliżej w Zielonej Górze. Jeden wygłosił w Amfiteatrze mowę, tym, że lek przed czołgami jest nieuzasadniony. Ich lufy są z plasteliny albo niepoważnego tworzywa; gna się pod własnym ciężarem. Drugi, ale towarzyszył, przemawiał w innym miejscu, bardziej zorganizowanym. Przeczytał więcej niż jedną książkę i dlatego podjął się nowej a jednak marksistowskiej egzegezy ewangelistów. Nie dokonał tego z tej prozaicznej przyczyny, że nikt ze zgromadzonych nie miał ewangelii pod ręką. W torbach słuchaczy były poradniki robotek ręcznych i książki kucharskie, akurat rzucane na kiermasz.

Ci dwaj trybunowie — jak ten czas leci! — spadli faktycznie z polskiej sceny politycznej, choć zachowują pozory, że jeszcze uczestniczą w grze. Lech, technik elektryk, za pomocą sru-bokrętu o mało nie rozkręcił Polski na detale. Otrzymał pokojową nagrodę No-bla — nie musi się martwić o byt. Może sobie teraz pozwolić na częste korzystanie z druku L4. Choruje w otoczeniu dźwięków, gilotyn, agregatów spawalniczych oraz innych ciężkich maszyn i urządzeń. Stocznia edańska, choć niektórzy sądzą, że tak jest, w mi-czym nie przypomina sanatorium. Nie wróży to Lechowi szybkiego wyzdrowienia.

Albin, wzorowy brygadziśta, majster budowlany, uczestniczył w skręcaniu tego, co rozkręcił Lech. Otrzymał okłaski, z których jednak żyć nie można. Nie korzysta z L4, choć nie zawsze jest zdrow jak ryba. Tak samo obraca się w tle żelastwa-dźwięków, betoniariek, kruszarek. Nie traktuje tego otoczenia jako lecznicy Albin, przebywając u pułkownika Kadafiego, jako rozrywkę może traktować ztapianie spojrzenia w figlarnych oczach ambasadora Kukurkury. Patrząc tak, milczy jak grób. Lech często korzystający z gościnności księdza Jan-kowskiego jest zapamiętany w obrazek świętej Brygidy a co z tego, wynika szybciutko dowiadują się wszyscy i to niekoniecznie nad Wisłą. Nawie-dzenia Lecha są tematem dnia, choć nie zawsze mają one spójność. Jedną ze światowych agencji informacyjnych podała, powołując się na Lecha, że nad Gdańskiem ukazała się Jasna Pani w błękitnej sukni od Chardina z wpięta-wi plakietką z wizerunkiem Lecha. Konkurencyjna, choć też światowa a-gencja, również powołała się na to samo źródło, poinformowała, że Pani nad Gdańskiem miała plakietkę, ale wpięta-wi gustowna suknie uszyta nie-

watpliwie przez znany włoski dom mo-dy. Rzecznik Prasowy Rządu, minister Jerzy Urban, znalazł się na swojej co-tygodniowej konferencji w kłopotliwej sytuacji. Obiecał sprawdzić kto i w ja-kim stroju ukazał się nad Gdańskiem, dodał jednak, że oświadczenie na modzie się nie zna, zaś jego małżonka zaopatruje się w ciuchy w firmowym sklepie „Mody polskiej”.

Lech i Albin, obaj głęboko związa-ni z proletariatem, awansowali do śre-dniego pionu organizacji produkcji, różnią się również pochodzeniem spo-łecznym. Korzenie Lecha sięgają tak głęboko, że aż głowa boli. Starożytny, rzymski ród Walensów, na który się Lech powołuje, to wyraz skromności. Prawda jest taka, że nasz trybun sięga do przodków spomiędzy wędrownych hord łowców mamutów. Albin, mil-czek, który na temat swoich przodków raczej się nie wypowiadał, zapewne nie złożył protestu, gdy jego robotni-czo-chłopski rodowód przesunął w pół-mrok historii, powiedzmy do czasów Piasta Kołodzieja...

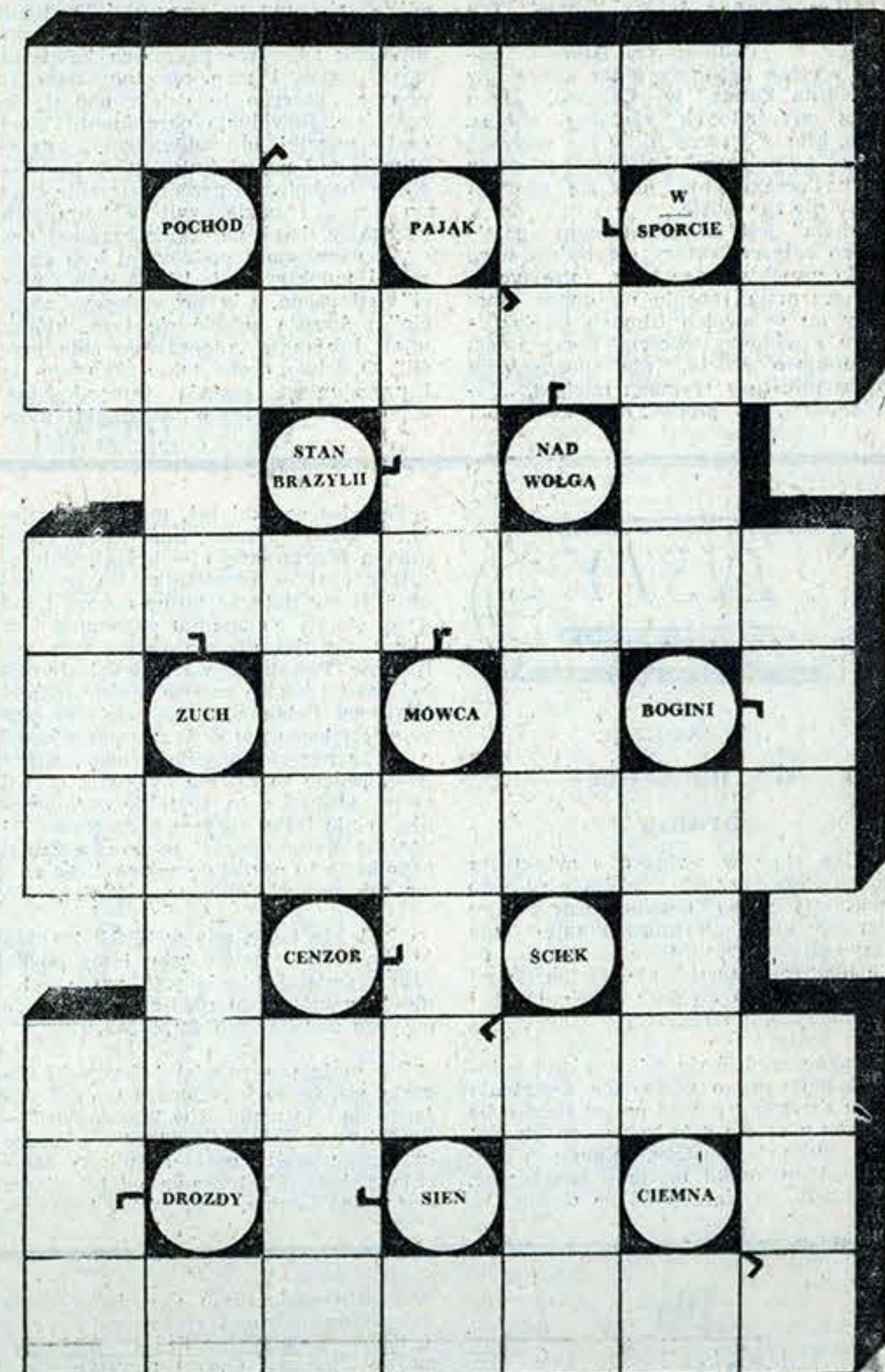
Dzisiaj wszyscy z wszystkimi chcą prowadzić dialog. Nawet Reagan z Gor-baczowem spróbowali i się to udało. W sprawie dialogu między Lechem a Albinem jestem jednak zupełnym pes-ymistą. Trudność w takim dialogu za-cyna się przy wyborze odpowiedniego lokalu. Między biurem w Trypoli-sie a kancelarią parafrastyczną w świętej Brzydwy istnieją odległości i sprzecz-ności. Konieczny byłby więc lokal neu-tralny. Siedzioba PRON przeznaczona właśnie do dialogów, niestety, przynaj-mniej jednej osobie, jestem przekonany, nie odpowiada. Trzeba więc było-by powołać jeszcze jedną komisję, je-szcze jedno ciało doradcze, tylko nie wiem przy kim. Wszystkie poważne osobistości w Polsce, instytucje takie jak Sejm i Rząd, są obudowane komi-sjami, ciałami doradczymi, jak śre-dniowieczne miasta barbakanami. Na-wet ksiądz Prymas Glempo gnia z no-siedzenia na zebranie komisji, ciała konsultacyjnego, rady konwentyku. Z trudem znajduje chwilę czasu na wy-picie kubka kakao i zjedzenia kajzer-ki. Powołanie jeszcze jednego ciała do-radczego, w którym uczestniczyć mogli-by Lech i Albin wydaje się być nie-możliwe. A skoro coś jest niemożliwe, przysięgam nad tym nikt. Goraczew nad oświeczonymi wojnami, do porządku dziennego. Obaj panowie A. i L. usie-dli tute a tute i natychmiast no wy-malanie wspólnych urzędności, nożom stłuszczenia dialogu osłaniał 150 decybeli — mniej więcej tyle, co zespół Rolling

stonesów w ich najlepszej formie. Po-tem napastników musiałby rozdzie-lać sprawny fizycznie sędzia. Skąd zna-leż w Polsce takiego sprawnego, nie-przekupnego, na dodatek sprawiedli-wego sędziego?

Tęsknoty do dialogu są więc w pew-nych sytuacjach nie do spełnienia. Roz-patrząc problem dialogu z pozycji teoretycznych, targany jestem różnymi wątpliwościami, co do ich sensu i sku-tku. Dialog mężów i żon doprowadza często do rozwodów. Do czego więc mo-że doprowadzić zdecydowanych prze-ciwników politycznych? Rozwodu obaj dokonali dawno. Co mają zrobić je-szcze? Pesymistyczne spojrzenie na kwestię w kraju kluczowe — ów dia-log różnych sił, mający jakoby dopro-wadzić do wypracowania wspólnej płaszczyzny jest złudzeniem. U nas dia-logi są formą monologów, gdzie każdy obstaje przy swojej racji. Argumenty nie mają żadnego znaczenia, zwłaszcza te wypowiadane przez przeciwnika. Nie posiadają one mocy korygowania poglądów. Każdy obstaje przy swoim.

Sko-ro nie mam żadnej szansy bycia świadkiem dialogu pomiędzy Albinem i Lechem, postanowiłem swój głód in-telektualny zastąpić substytutem, przy-rzecz się walce wyborczej na płaszczy-znie mniej zantagonizowanych pozycji. Kandydatka na radną (dziś już radna) w moim mieście Zielonej Górze, obie-cała, że będzie wojować o żłobki, przedszkola i szkoły. Jako dziennikarz doceniając społeczny walor tego pro-gramu. Natomiast jako ja, bez szcze-rzości własności, pomyślałem so-bie, że do żłobka chodzić nie będę do przedszkola i do szkoły również. Mia-łem wątpliwość również i taką, skąd owa dama weźmie forsy na zrealizowa-nie owego programu? Innymi słowy kosztów czego i kogo ona te przedszko-la postawi? Wiza Zielonej Góry jako stutysięcznego żłobka jest bliższą rea-lizacji niż się jej wydaje. Jej konkuren-t do mandatu radnego byłby mniej ambitny. Projektując niemiarkę han-dlu rzucił pytanie: — dlaczego sklepy mięsarskie mają być otwierane od go-dziny dziesiątej? Jako reżymowy pi-smak aprobuje społeczny walor tego pytania. Natomiast ja jako ja mam to głęboko w nosie. Kartki na mięso re-alizuje jakoś bez specjalnych kłopot-ów. Wiza rady miejskiej jako per-skiego rynku, gdzie wszyscy wszyscy ciągną w swoją stronę, od Sasa do la-sa, mi nie odpowiada, ponieważ ciało temu groziłby już na samym początku paraliż decyzyjny.

RYSZARD ROWIŃSKI



WIROWKA PANORAMICZNA

ZIELONOGORSKI KLUB SZARADZISTÓW „LABRYŚ”

Kierunek wpisywania wyrazów oznaczony jest w diagramie. Rozwiązania wi-rówki prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji w terminie dwóch tygodni od daty ukazania się numeru. Na koperce prosimy nakleić zamieszczony obok ku-pon. Do wylosowania będą dwie nagrody książkowe po ok. 1000 zł.

Oprac. Stanisław Garstkiewicz

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nad-syłać na adres redakcji w terminie dwóch tygodni od daty ukazania się nu-meru. Na koperce należy nakleić za-

mieszczony obok kupon. Do wylosowa-nia będą dwie nagrody książkowe po ok. 1000 zł.

Rozwiązanie logografu dla dzieci z nr 11

Hasło: „Dzieci nie są głupsze od doro-słych, tylko mają mniej doświadczenia” — Janusz Korczak.

Nagrody — „Jesposzdzianki wylosowali: Jan Piotrowski, ul. Zawadzkiego 3/9 65-530 Zielona Góra, Ludwika Dumana, Klimkowska 2, 33-311 Wielogłowy, woj. Nowy Sącz oraz Natalia Witkowska, ul. Zaków 2b/1, 66-200 Świebodzin. Gratu-lujemy.



MoRGinałki

ZWOLNIONA OD PODATKU. W felie-tonie „Rynek seksu” („Szpilki” nr 22 dr Ozda pisze m.in.: „Jeśli chodzi o pro-sytuację, to jest to jedyna legalna dzia-łalność finansowa zwolniona u nas od podatku na zawsze. Zwalnia się czasa-mi od podatku powstające firmy na dwa, trzy lata, tutaj działać można, ile tylko się starczy, a panie nasze jakoś niechętnie, a może klientów nie staje. Spotyka się jednak czasami despero-wane kobiety, które twierdzą, że jak tak dalej pójdzie, to pójdą na róg i po kio-pach. Nie ma u nas takich rógów, gdzie spotkać można na pewno panią z branży usług cielesnych. Jest to poza tym zawód, który wymaga oprócz po-siadanych narzędzi, nieco umiejętności i powodzenie w dużej mierze zależy od chęci do pracy i stosunku (!) do klien-ta. Każda niemal twierdzi, że „jakby chciała, toby potrafiła”. Tylko za „zielo-ne”...

REFLEKSJA O GRAFOMANACH. „Ida młodzi” — to tytuł publikacji Krzyszto-fa Karwata w katowickim tygodniku „Tak i Nie” (nr 22) poświęconej młodej generacji pisarzy. Jest też refleksja o grafomanach. „Grafoman też człowiek i kawalka dachu nad głową bym mu nie poskapił, tym bardziej, że nikogo to nie kosztuje, a na „salony” i tak nie zostanie wpuszczony”. Choć nie wypu-szczony, sam wejdzie, jak uczy doświad-czenie — Kadina.

ŚLAWIAN CZY ŚLAWOMIR? W tymie-n-rze „Tak i Nie” znajdujemy wiersz Śla-wiana Tróckiego pt. „Uwagi”. Oto je-dną z tych głębszych: „Niby gady — a pod ochroną”. Niestety, zmiana imienia nie wywołuje automatycznie wyższego lotu... artystycznego.

SŁUTNE PRZEWIDYWANIA. Po Stani-sławie Tymie, który przeprowadził kry-tyczną analizę „Sztandaru Młodych” na łamach „Tygodnika Kulturalnego”, w n-rze 24 pisma Krzysztof Metrak pi-sze o „Życiu Warszawy”, wysnuwając ta-kie oto wnioski: „Ludzie myślą na ogół głupio, ale czasem kieszonkami. Zda-je się, że to ostatnie nam właśnie gro-zi. Wszyscy teraz dostali ekonomiczne-go kręka, zyski, to tylko zyski peku-niarne, straty — to tylko straty mate-rialne. Wszystko się spienięża i przeli-cza: życie duchowe i śmierć, kulturę i sport, modę i turystykę. Redukuje się wszelkie przejawy życia do motywacji i racji utilitarnych. Wszystko ma swoją cenę i wycenę. Zdobycza się świat — arytmetyka.

Ja nie będę mówił, jakie to niesie ze sobą zagrożenia dla duchowości zbioro-wej. Nie nadaje się bowiem na mora-listę. Ale jeśli nie wierzyacie, to piszcie i myśla tak dalej. I niech nad wami czuwa św. Franciszek Salezy — patron dziennikarzy. A u końcu — ja wam to mówię — będziecie zmuszeni zrealizo-wać postulat zawarty w wierszu rosji-skiego poety Wacława Kupcia: „Na liczne prośby czytelników we wszy-tych gazetach popołudniowych, opubli-kowana zostanie tabliczka mnożenia”. Takie wnioski wysuwa autor po lekturze prasy codziennej o zasięgu krajowym. A jakie byłoby wnioski po lekturze codziennej prasy regionalnej?

KTO KOGO POPIERA. Tak w ogóle, to nie bardzo wiadomo, choć pewnie jest, iż popiera się nawzajem Daniel Passent i KTT na ostatniej stronie „Po-łityki” (nr 22). W „Uwagach starego awanturnika” Passent pisze m.in.: „Mo-ja rada dla młodych dziennikarzy: nie udawajcie się w niepotrzebne kłótnie, zbywajcie milczeniem rozliczne, choć by najbardziej niesprawiedliwe i kłam-liwe polemiki, jak to np. robi KTT...”. A teraz KTT: „Przed dwoma tygodnia-mi (...) obaj z Passentem napisaliśmy identyczne felietony (...) Bezwiednie na-misane identycznego felietonu co i cze-godny kolega można uznać za zdarzenie zabawne, kłopotliwe lub ośmieszające — jak kto woli. Według mnie jednak jest to zdarzenie dające do „myślenia nie tylko o jedyności państwa w kre-acjach „Polityki”, ale być może o zja-wisku szerszym...”. Na koniec aforyzm z Passenta: „Dużo większe znaczenie ma jeden, który was poprze, niż dzie-sięciu, którzy was zwalczają”. Otóż to!

PRZETERMINOWANE MIĘSO. W tygo-dniku „Veto” (nr 24) Halina Zarzecka przekazuje informacje z kontroli „Wios-na ’88”, dotyczące tym razem sklepów mięsno-wędliniarskich, pisząc m.in.: „W sklepie miesnym nr 36 w Sulchowie (woj. zielonogórskie) sprzedawano prze-terminowane mięso i podrobę wartości-oną 35 tysięcy zł.”. A mówią, że u nas mięsa brakuje, zaś podroby są raryta-sem.

NA HUSTAWCE. Ewa Szumańska w swoich liryczno-dramatycznych zapi-skach („Tygodnik Powszechny” nr 23) rozpoczyna w krainie dzieciństwa: „Hustaw-ka. W górę i w dół. Prawie pod niebr- — i tak nisko, że nogi wloką się po zie-mi. Od nadziei do desperacji, od super-aktywności do klęskotrąconej anafilii, od zadufania do beznadziejności, od odwilży do przymrozka, od aspiracji do rezygnacji od obietnic po wielką figę.” Gdy dzień-czynka podrośnie i zmadrzeje, nogami stąpię po twardym gruncie rzeczywistości. Skończą się bajeczne metafory

POZOSTAJE MODLITWA. Maciej Alek-sander Janisławski pisze na łamach „Rzeczywistości” (nr 23) o „kłopotach z zakupem nowego odbiornika telewizyj-nego: „Kilka tygodni temu, przeczyta-łem w jednej z popularnych populat-ywówek, że nowy polski telewizor kolo-rowy będzie kosztował... milion złotych! Jeśli to nawet kaczka dziennikarska, a wspomniany wyrób polskiej elektroniki będzie ocale 200 czy 300 tysięcy tań-szy, to i tak kupić go będą mogli wy-lacnie obywateli pierwszego katenariu, których stać na wszystko. W przeci-wieństwie do wszystkich pozostałych, którzy mogą się jedynie modlić, żeby kineskopy w ich telewizorach działały jak najdłużej.” A jeśli modły nie po-mogą?

SPEŁNIAMY ZAMÓWIENIA. W 22 nu-merze tygodnika „Perspektywy” prze-czytaliśmy informację: „Zielonogórskie „Nadodrze” (9/88) publikuje wywiad z anonimowym pederastą, który przekon-uje dziennikarkę, że „Ciało męskie jest piękne...”. W końcowym fragmencie wy-wiadu przedstawiciel „innego” spojrze-nia na sprawy seksu powiada: „W spo-leczństwie otwartym, za jakie rzeko-mo zaczynamy w świecie uchodzić, po-winna być oficjalna akceptacja innych...”. To rzeczywiście coś nowego. Czytelni-cy „Nadodrze” nie mogą narzekać, że ich gazeta jest nudna. Nas też wciągnę-ło. Oczekujemy wywiadu z anonimowa lesbijką. Ciesząc się, że ożywiamy la-my „Perspektyw”, śpieszmy donieść, że oczekiwanie redakcji spełniłmy w poprzednim numerze.

POCZTA. W związku z publikacją frag-mentów prozy Henry Millera otrzyma-limy listy od „Sfrustrowanej czytel-niczki” i p. Marii Bilek. Oto treść listu pierwszego: „Panie Redaktorze! Sądzi Pan, że tylko te fragmenty prozy Hen-ry Millera (...) najbardziej nadają się do przedruku jako sceny miłosne w literaturze pięknej? Serdecznie Panu współczuję.” I oto fragment drugiego listu: „Po przeczytaniu (...) sceny mi-łosnej w literaturze pięknej”, przekłada-li Zofia i Lucjan Porembscy. Czy nie było dla tych dwoje ludzi zenująco pi-sać tak wulgarnie słowa, przecież karzą orzywną. A kto was ukarze literaci? Za przekazywanie do publicznej wia-dości artykułu o tak wulgarnych sło-wach, i przenoszenie swoją kulturę na m’o dziesięć nawet kiedyś prostak instytut sie-tych słów-wypowiadać. Nie powinniście takie pismo podawać za kulturalne, lecz odwołanie pismo bez kultury. Prze-stanie pisać brudy, bo wasze pismo traci na wartości.” Dziękujemy za słowa krytyki, pisownię zachowaliśmy w oryginale. Polecamy lekturę powieści Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skirolawkach”.

Jerzy Markiewicz - muzyk

